Nr. 6. **Rok I.**

We Lwowie 4. października 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychcdzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają sią INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za znakomite środki owadogubne

mianowicie:

Fenilin radykalnie wytępia mole i zapobiega zagnieżdżeniu się takowych, jest przeto najlepszym środkiem do przechowania futer, sukien itp. Flakon 60 ct.

Mikoton niezawodny środek na wyniszczenie **pluskw.** — Flakon 50 ct.

Grylon wypróbowany środek na wygubienie stonóg, tarakonów, szwabów itp. dokuczliwych owadów. Flakon 30 ct.

Prawdziwy proszek perski na **pchły** itp. owady. Pakieciki po 5 i 10 ct., flakonik 30 ct., kilo 3 złr.

Papierki na muchy, sztuka 3 ct. tuzin 30 ct.

Allehenia polecam jako środek wypróbowany i niezawodny w swych skutkach na wytępienie **Grzyba domowego,** kilo 40 ct., beczki po 25 kilo 1·50, po 50, 2·59 po 100 kilo 3 złr. opisanie użycia franko.

J. IHNATOWICZ

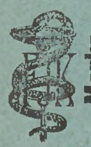
2571 28-0 1 magister farmacji i chemik sądowy

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp.: Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20, w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Millera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Macury, w Przemyśln u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze Marascha, w Podhaicach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla.

KWIZDY PŁYN GOŚĆCOWY

od wielu lat wypróbowany, znakomity środek przeciwko

gośćciowi, reumatyzmowi i cierpieniom nerwowym.



Marka ochronna.

Używać go można ze znakomitym skutkiem przeciw **zwichnięciu, sztywności muszkułów i żył, przekrwawieniu, zgniecieniu, nieczułości skóry, dalej na miejscowe kurcze (kurcze w łydkach), przeciw bolom nerwowym, obrzękłościom, powstającym w skutek długotrwałych obandażowań, głównie także do wzmocnienia przed i po odbyciu wielkich wytężeń, po długich marszach i t. p., tudzież w podeszłym wieku na osłabienie.**

Prawdziwy dostać można w następujących składach:

We Lwowie en gross u apt. Piotra Mikolascha, en detail u p. Kaliksta Krzyżanowskiego apt., u p. J. Beisera apt., u J. Pipesa apt, Z. Ruckera apt., A. Sklepińskiego i H. Blumenfelda apt. Kraków en gross M. Jawornicki, en detail Markiewicz apt., E. Radler apt., W. Redyk apt., A. Siedlecki apt., F. Sobierajski apt., C. Wiśniewski apt. Bełz: A. Gross apt. Brody: J. Inlender apt, Ed. Liszka apt., M. Kulak apt. i K. B. Witosławski apt. Brzeżany: Dembiński apt., Jul. Hausberg apt Frysztak: Haniewski apt. Husiatyn: Witold Czerski apt. Jarosław: W. Rohm apt. Jasło: J. Steinhaus. Jaworów: W. Lachowitz apt. Kołomyja: Edw. Stenzel apt., W. Sidorowicz apt. Nowy Sącz: W. Filipek apt. Przemyśl L. Nahlik apt. Rzeszów: J. Scheitter & Comp. Sędziszów: J. Mizerski apt. Stanisławów: A. Amirowicz, Alb. Beil apt., J. Macura apt. Stryj: J. Zagórski apt. Sądowa Wisznia: W. Włodzimirski apt. Tarnopol: F. Jamrogiewicz apt., H. Kahane apt. Tarnów: L. Chodacki apt., E. Rank apt., E. Ried apt., F. Wielogórski apt., W. Müldner & Comp. Ulanów: D. J. Wroński apt. Żółkiew: A. Dadlec apt. Żydaczów: M. Bardasz apt. Żurawno: J. L. Tomaszewski apt.

Główny skład u Franciszka Jana Kwizdy,

c. k. nadwornego dostawcy i właściciela apteki obwodowej w Korneuburgu.

Cena flaszki 1 złr. w. a.

☞ Prócz tych składów we wszystkich znaczniejszych aptekach austro-węgierskiej monarchji, która od czasu do czasu bywają ogłaszam dziennikami.

Łaskawą uwagę zwracamy nato, że kupując ten preparat, żądać należy zawsze **Kwizdy płynu gośćcowego** i uważać, ażeby tak każda flaszka jak też karton opatrzony był powyższą marką ochronną. 2328 1—0

Firma F. FIALA dziś A. FIALA następcy

32 lat istniejąca

urządziła nową apreturę kapeluszów

według sposobu francuzkiego

poleca swoją **fabrykę** i **skład** kapeluszów filcowych w rozmaitych i najelegantszych fasonach w najlepszym gatunku, własnego wyrobu w wielkim wyborze i bardzo przystępnych cenach

Kapelusze filcowe mężkie po 1 zł. 90, 2 zł. 50, 3 zł., 3 zł. 50, 4 zł., 4 zł. 50 i 5 zł.

Kapelusze filcowe dziecinne po 1 zł. 20, 1 zł. 50, 1 zł. 80 ct., 2 zł. i 2 zł. 50.

Cylindry własnego wyrobu lekkie i bardzo trwałe w najgustowniejszych fasonach od 3 zł. 50 do 5 zł. Także cylindry tak zwane **Adherend** od 5 zł. do 8 zł.

Wyrabiamy także kapelusze filcowe w najlepszym gatunku **a la Habig w Wiedniu** są one bardzo lekkie, ważą tylko 75 gramów i sprzedajemy je po 3 zł. 50 i 4 zł. 50.

Czapki podróżne i do polowania sukienne, jakoteż i filcowe.

Kapelusze strzeleckie w rozmaitych fasonach i różnych kolorach.

Szczególnie zwracamy uwagę szan. publ. na nasze **obówie filcowe** własnego wyrobu w najlepszych gatunkach i bardzo trwałe; do pokoju, do wyjścia, do podróży i do polowania.

Do odnawiznia przyjmujemy stare kapelusze i wykonujemy jak najprędzej.

Zamówienia wszystkie w naszym zawodzie wykonują się jak najrzetelniej i najakuratniej.

Dziękując przytem za zaufanie szanownej publiczności przez 32 lat, proszę także i nadal o łaskawe względy tejże, kreśląc się z wysokiem upoważaniem

Franciszek Fiala

zawiadowca handlu.

Perfumerye.

Rękawiczki. — Krawaty.

Magazyn nowości i drobiazgowy

W. BYSTRZONOWSKIEGO

Lwów ul Halicka l. 18.

poleca świeży transport najtaniej

Chustki włóczkowe

po 1. 1.50. 2. 2.50. 3. 3 50. 4. 5. 6. zł.

Sznurówki francuzkie

ceny zniżone

1.20 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50, 4. 5. 6. 8. 10 zł.

Łaskawe zamówienia załatwiają się odwrotną pocztą.

wszelkie przybory do szycia i haftu.

Nr. 6. We Lwowie dnia 4. Listopada 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Brak krytyki.

Nie zamyślamy mówić na tem miejscu o braku pisanej krytyki literackiej lub artystycznej, który mocno w piśmiennictwie naszem daje się odczuwać — sprawie tej poświęcimy w przyszłości artykuł—zamierzamy dziś zastanowić się nad brakiem zmysłu krytycznego u naszej publiczności w ogóle, który to brak widoczny jest na każdym kroku. Jeżeli nie zatraciliśmy jeszcze zupełnie pojęcia, co złe, a co dobre, co piękne, a co szpetne, — to w każdym razie poczucie to jest bardzo grube, nieokrzesane, brak mu delikatności i subtelności. Objawia on się w różnych kierunkach: w życiu społecznem, w literaturze i sztuce. Popatrzmy na pana X. — Uśmiechnięty, wesoły, z podniesioną głową kroczy przed siebie — jedni ustępują mu z drogi, drudzy przyjaźnie witają. Któż to jest pan X? Człowiek pod względem moralnym upadły zupełnie. Wiedzą to wszyscy — a jednak usprawiedliwiają rozmaitemi okolicznościami, tak że w gruncie rzeczy wypada się zapytać: „A może to, co on robi jest dobrem?" Oto brak krytyki w stosunkach wzajemnych między ludźmi, brak tej krytyki, któraby jasno wypowiadała swe zdanie, nazywając rzeczy właściwem imieniem, brak krytyki która tworzy opinję, tworzy sprawiedliwość.. „A może to tylko tchórzostwo?" zapyta niejeden. Bezwarunkowo jest w tem i tchórzostwo — ale ono było tylko rodzicem obecnego stanu rzeczy, z niego to wypłynął ów brak krytyki w stosunkach społecznych, ono nas pod tym względem ubezwładniło.. Inny gatunek braku krytyki. Jesteśmy w teatrze. Przedstawiają sztuki zupełnie niedorzeczne — a publiczność składa się z inteligencji. Piszący to, jako długoletni sprawozdawca teatralny przekonał się, że ta inteligencja, na takich właśnie sztukach bawi się przewybornie. W najniestowniejszych miejscach rozlegają się śmiechy, w najniestosowniejszych miejscach, jeżeli tylko aktor a tem bardziej jeszcze aktorka, zrobi szablonowy ruch z dopominaniem się brawa, walą się oklaski, jakby setki stangretów paliły z batów.. Eh! To galerja! Nie! sto razy nie!... To adwokaci, to urzędnicy, to profesorowie.. Dalszy przykład. Idźcie do kawiarni i popatrzcie się na „przeciętnego" czytelnika dzienników, a skoro skończy czytanie, rozpocznijcie z nim rozmowę na temat bieżących wypadków. Zacznie się unosić nad przeczytanym przed chwilą artykułem.. Bierzemy ten artykuł do ręki i przekonujemy się, że jedno zdanie kłóci się z drugiem, że autor artykułu co innego założył sobie na początku, a zupełnie do innej doszedł konkluzji.. Ów jegomość czytał bardzo powoli i uważnie—była to jednak machinalna robota, duch jego przytem nie pracował — to też podobało mu się to, co żadnemu rozsądnemu człowiekowi, jako nonsens podobać się nie powinno... Bezmyślność w lekturze — to panująca u nas wada — doszliśmy już wreszcie do tego, że się nie wiele zważa na stylistykę, ba! nawet na gramatykę.. Byle wydrukowane, a czytelnicy nie połapią się na tem, czy to źle, czy dobrze.! Niejeden z piszących tak sobie myśli, rzucając publiczności na żer robotę tandetną, i sam się ze siebie przytem śmieje. Cóż dopiero mówić o wielkich zagadnieniach filozoficznych, o jasnych przekonaniach społecznych, o wybitnem stanowisku w najżywotniejszych kwestjach? Pod tym względem u nas zupełna tabula rasa.. Wszystko jakieś przeciętne, ni zimne ni gorące, ni białe, ni czerwone.. A powód* tego? — Znowu brak krytyki, znowu brak zmysłu odróżniającego bezwzględnie prawdę od fałszu, sprawiedliwość od nieprawości.

Podnieśliśmy ciężkie zarzuty, według jednak naszego przekonania zupełnie prawdziwe. Są u nas na szczęście jeszcze jedno-

stki, które z ogółu zaszczytnie się wyróżniają, ale jakże ich nie wiele! Jednostki te u ogółu uchodzą za jakichś dziwnych oryginałów, którym się jakichś idealnych rzeczy zachciewa, za niepoprawnych malkontentów, ba! nawet za ludzi niebezpiecznych, bo niedających drugim spać gnuśnym snem duchowym! Część ich usunęła się zupełnie z szerszej widowni, stali się pesymistami, uśmiechają się zgryźliwie i nie protestują, choćby w ich obecności działy się lub mówiły prawdziwe h o r r e n d a. Pozostała garstka rzuca się od czasu do czasu, wybucha okrzykami zgrozy — ale czy dochodzi do pożądanych rezultatów? Bynajmniej Nie mogą poruszyć ogółu, nie mogą wlać weń choć „kropli krytycyzmu“ jakby się Bismark wyraził.. A jednak rzecz to konieczna, jeżeli nie mamy zostać kompletnymi Beotami... Te nieliczne jednostki, które mamy na myśli, powinne połączyć się w falangę, i na każdym kroku dokumentować swe zapatrywania, powinne nieść przed ogółem wysoko sztandar zdrowej i sumiennej krytyki, powinne pobudzać do zastanawiania się i myślenia. Mała ich garstka—ale to zrażać nie powinno... W tym wypadku nie liczebna przewaga, ale przewaga myśli, objawiająca się w niezamąconej logice, musi odnieść zwycięstwo...

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA

(Ciąg dalszy).

Już się zwrócił w stronę ku Tarnowu, lecz w sam czas nastąpiła refleksja.

— Czy gdy odbiorę od Zawrzykraj[?]“ uratuję stracone szesnaście guldenów?... — Refleksji przyszedł w pomoc niewytłumaczony, a raczej nieokreślony pociąg do ślicznej dziewczynki.

Zyzma zawrócił do Dołęgi.

Szedł wałem Uszwicy. Księżyc cicho płynął po niebieskich lazurach, a białe mgły jak tajemnicze duchy wychylały się z wody, wznosiły się i znikały wśród pól i drzew. Młody chłopak pełen namiętności i fantazji, pogrążony w myślach, rozmawiał z własnem sercem. Wśród skarg i boleści przyświecał mu blask oczu dziewczynki, a jej serdeczny uśmiech rozweselał go. Przyspieszył kroku, zsunął się z wału i ścieżką przez łan pszenicy dotarł na błonia.

Promienie księżyca obejmowały go pieszczotliwie, tajemnicza cisza otaczała go, — słyszał spadające krople rosy z traw strącanych uderzeniami swych nóg.

Spojrzał na księżyc, na niebieskie niebo gwiaździste... obrazy z biblii przesuwały się przed wzrokiem jego ducha. Zapomniał o stracie, myślał o wielkim Jehowie i korzył się przed nim. Wyszlachetniał, ludziom przebaczał, marzył o szczęściu i przyszłości...— Zatrzymał go stromy brzeg Rudawy i oprzytomnił.

Szukał kładki, przeszedł po niej... Drzwi chaty macochy były zamknięte, zapukał do okna.

— Kto jesteś i czego chcesz? — odpowiedziały mu obce głosy.

Zyzma spojrzał do koła, a przekonawszy się, że się nie mylił, zawołał:

— Chcę wejść do domu mego ojca.

— Tu niema domu twego ojca, tu jest dom wdowy i sierot — dał się słyszeć głos z wewnątrz. — Twój ojciec umarł jak ostatni łapserdak, nie zostawił dzieciom ani jednego centa. Ty nie chodzisz do bóżnicy i zginiesz marnie pod płotem. Oskarżam cię przed rabinem i sądem, za najście domu sierot. Idź precz przeklęty, a twoje ciało niechaj psy rozniosą po polach!...

— Idź precz! — dał się słyszeć drugi głos męski.

Zyzma oniemiał, nie mógł zebrać myśli. Oczy mu tylko świeciły.

Podniósł rękę i zamierzył się nią, chcąc szybę wybić.

Zobaczył w oknie siwą brodę Arona i błyszczące oczy pomocnika jego Abusia — cofnął się. Przy drzwiach chaty stała jego szafka zamknięta na kłódkę, kopnął ją z całych sił, — drzwiczki wyleciały, kopnął ją raz jeszcze — rozleciała się cała; pochwycił rozrzucone na ziemi towary, potargał je. Czapka mu spadła, krymkę zrzucił, chałat podarł na sobie i nieprzytomny szedł wolno przed siebie.

Otworzyło się okno — wyjrzały dwie brodate twarze; za chwilę otworzyły się drzwi — Aron i Abuś przyczajeni do ziemi zbierali chciwie rozrzucone przez Zyzmę towary, a pochowawszy je do kieszeni, wrócili do chaty, opowiadając Wałowej o wielkich swych czynach. Przysięgali, że Zyzma nie odważy się przestąpić jej progu. Odpoczęli chwilkę i zaufani w swą potęgę poszli do Szczurowy.

Słyszał rozmowę matki ze starszymi mały Josek i kontent był z niej. Nikt już się jego własności nie dotknie.

Sara jednak, była smutna i zgryziona. Mąż jej zostawił przeszło ośmdziesiąt guldenów, za które kupiła krowę. Starsi wypędzili z domu jak psa syna jej męża, rzucając na głowę jego przekleństwo...

— Za co, za co? — pytała łamiąc ręce. Sara wierzyła w siłę przekleństw.

Zaczęło świtać. Nie mogła usnąć, nie mogła nawet w izbie usiedzieć. Wyszła — stanęła we drzwiach, patrząc na rozbitą szafkę i resztki towarów niezabranych przez Arona i Abusia. Domyśliła się rabunku dokonanego przez starszych, i wierzyła w siłę ich przekleństw.

Spojrzała przed siebie — krzyknęła przeraźliwie — skoczyła do izby, pochwyciła nóż i jak szalona wybiegła. Wystraszone dzieci płakać zaczęły, Josek nie miał odwagi ruszyć się.

Na jednej z wierzb rosnących nad Rudawą, na skręconym pasie wełnianym wisiał Zyzma.

Jedno cięcie noża — ciało spadło w Rudawę, Sara rzuciła się za niem, pochwyciła je na ręce, wyciągnęła na brzeg — krzycząc i płacząc w niebogłosy. Z przyległych chat przybiegli ludzie. Serce Zyzmy słabo, lecz biło jeszcze — ciepły był, choć na twarzy siny.

— Gdyby to był powróz lub rzemień, niby już z niego nie było — mówił Łuba cucąc zemdlonego. — Wełniany pas nie dociągnął do dna i uratował go. Ot głupi żydziak, nawet się powiesić nie umiał. Skoczcieno która po wodę.

Przyniesiono wody. Łuba otworzył kozikiem zaciśnięte zęby Zyzmy, wlewając mu do ust parę kropel. Przełknął raz jeden i drugi.

— Nic mu nie będzie, — zawyrokował stary, ułożył go na trawie i poszedł. Zostały gospodynie gwarząc o zawziętości żydowskiej. Sara przed niemi skarżyła się i płakała.

Lecz i gospedynie musiały wrócić, rozniecić ogień i gotować dla gospodarzy idących w pole śniadania.

Została sama tylko Sara. Zyzma oczy otworzył i zamknął je.

— Zyzma chodź do chaty — szeptała — głaszcząc go ręką po twarzy. Jeżeli nie chcesz w niczem przyczynić się do życia — ha! to i tak muszę dać sobie radę, póki siły i zdrowie starczą. Zyzma, ja mam troje dzieci, ja sama jestem, ciężko pracuję — jam biedna... Ty mnie nie przyklinaj — ty nie szukaj na mnie zemsty,— zalała się łzami.

Zyzma ciężko oddychał, patrząc dokoła. Podniósł się i usiadł na trawie.

— Chodź do chaty, ludzie patrzą i śmieją się. Nie wystawiaj się na pośmiewisko gojów...

Zyzma milczał, patrząc w przestrzeń osłupiałym wzrokiem, nareszcie się zerwał, odwiązał z drzewa część przeciętego pasa, zarzucił chałat, nałożył na głowę krymkę, wdział czapkę i nie oglądając się, poszedł — a idąc chwiał się, siadał i pokładał.

Patrzyła za nim Sara ze łzami w oczach.

— Idzie na Rylową — szeptała — będzie mnie i moje dzieci przeklinał — i pełna wstydu, a niechęci i gniewu do starszych, wróciła do chaty.

V.

Zyzma przepadł bez wieści, mówiono, że odpoczywał u stelmacha na Rylowej i jak poszedł tak go już więcej ludzkie nie widziały oczy.

Wróciła z Tarnowa Zawrzykrajka jakoś uśmiechnięta. Podobno adwokat obiecał jej pieniądze, dane Szmulowi za grunt, odebrać.

Kasia wpadła do chaty Sary szukać Zyzmy, lecz Josek jej powiedział, że Zyzma wisielec uciekł.

Wystraszona dziewczyna pobiegła do matki.

Kobieta się dziwowała, żal jej było żydka, który ją przecież wsparł, a gustował w piękności jej Kasi, — lecz się troszkę i ucieszyła, że poszedł, bo nie będzie molestował o te dwanaście papierków, które jej dał.

Fantazja dziewczynki wytwarzała straszne obrazy uciekającego wisielca. Śnił jej się i wtedy głowę chowała pod pierzynę i tuliła się do matki. Bała się go, choć był dla niej dobry, lubił ją, głaskał i pierniki kupował.

Sara posmutniała po ucieczce pasierba, bojaźliwie patrzyła na dzieci i drżała na myśl, że Zyzma je przeklina. Pod wpływem tych myśli stała się cichszą i zamyśloną.

— Wałową jakieś ciężkie myśli trapią — szeptały między sobą kobiety.

— Nie zła ci żydówczyna, ale haniebsko wygnała pasierba.

— Jaki ci to żydziak impetny, żeby się zaraz wieszać.

— Taka to już krew, — zdecydowała kowalka. Kumy się wygadały, przestały — i cicho się zrobiło. Josek coraz więcej rządził w domu, ucząc się za młodu kierować sprawami handlu. Sara pracowała ciężko, roznosiła po dworach chleb, owoce, masło, a kupowała jaja, pierze, szczecinę — czasem płótno, a czasem rzucała się na hazard kupując skórkę cielęcą — do czego ją zachęcał Josek.

Dobrze jej było, nikt jej nie zaczepiał gęsi się pasły, — Łaciata dużo dawała mleka, grosz spływał do skrzynki wprawdzie szóstkami, ale spływał. I znowu Sara zaczęła się uśmiechać do ludzi, pokazując białe, duże zęby.

Słońce nadziei jasno świeciło nad brzegami Uszwicy i Rudawy, a mimo to z daleka czarne chmury ciągnęły. Bartek Czarnik czuwał. Zamyślony, milczący i skryty przechodził często obok chaty Wałowej, — ukradkiem do okna zaglądał i odchodził. Dręczyło go powodzenie żydówki, zagrażające mu konkurencją. Radby się jej pozbyć ze wsi, zubożyć ją, zniszczyć, lecz nie widział sposobu.

— Żyd albo żydówka zaspokoją się byle czem, ni to zje ni to wypije, a tu człek przecie musi żyć.

Wprawdzie Bartek Czarnik mało jadł, a pił wtedy, gdy był częstowany, lecz był zdania, że to żydzi nie dają mu ani dobrze zjeść, ani dobrze wypić. Żydzi go ubiegają we wszystkiem...

Ma ci tam wprawdzie te ośmset papierków, ale cóż to znaczy? Gdyby nie żydzi miałby dwa tysiące.

Idąc drogą przeklinał żydów i odgrażał się im, aż póki nie spotkał starej jak świat Zabijaczki, o której mówiono, że ktoś inny za nią pomarł — i dlatego śmierć ją mijała.

Przystanęli, przywitali się po zwyczaju, i każde na swój sposób narzekało na biedę i ciężkie czasy. Czarnik żalił się na brak urodzajów, a Zabijaczka skarżyła się na starość, na ból nóg i skąpstwo ludzkie.

— Nie skąpstwo to — pochwycił Bartek, ino Wałowa odciąga od was serca ludzkie.

(Dokończenie nastąpi).

Dąb i lilja.

Nad wody kryształem stał dąb okazały,
Potężne konarów ramiona
Jak czarne wieżyce — ku niebu sięgały
I wichry mu głowę zieloną czesały
A orły gnieździła korona.

A w wody krysztale śnieżysta lilija,
Jak anioł tak skromna i cicha,
Aksamit swych listków ku słońcu rozwija,
I białość z promieni słonecznych wypija
Dla krasy swojego kielicha...

I dąb ów, co gromy wyzywał zuchwale,
Miłością ku lilji zapłonął;
Gałęźmi wciąż szemrał w miłosnym zapale
I szalał, gdy wietrzyk za zbyt poufale
Listeczki kielicha rozwionął...

I lilja kochała go też bladolica,
Zwyczajnie jak kwiatek tak skromnie,
Wśród nocy majowych przy blasku księżyca
Zalotnie do listków tuliła swe lica
Szeptając: Pójdź do mnie! Pójdź do mnie!

Lecz próżne są wasze miłosne porywy,
O dębie, lilijko ty w bieli,
Nie złączą was losy lubemi ogniwy,
Nie błyśnie wam nigdy raj szczęścia prawdziwy —
Bo kryształ jasny was dzieli!

Janina.

Wiek i jego prawa
w wychowaniu
przez
Ludwika Hodolego.

(Dokończenie).

Każdy wiek ma swoje przyjemności. Jeżeli nawet w zabawach uważamy na pewne zastosowanie do wieku, to o ileż więcej powinniśmy się starać przy nauce, aby dzieci zająć i zabawić w sposób ich wiekowi odpowiedni. Przyjemność powinna zawsze towarzyszyć temu, czego się dziecko ma uczyć. „Ostatecznem kryterjum doskonałości systemu wychowawczego,“ mówi Spencer, „powinno być pytanie, czy sprawia on zadowolenie wychowańcowi.“ Wstręt, który dziecko okazuje do tej lub owej nauki ku wielkiemu niezadowoleniu nauczyciela, nie jest wrodzonym, lecz pochodzi z wadliwości przyjętego przez nauczyciela systemu. Fellenberg powiedział: „Przekonałem się, że ospałość umysłu, tak pospolita pomiędzy młodzieżą, zupełnie się nie zgadza z wrodzoną u dzieci potrzebą ruchliwości, i że zawsze uważać ją należy jako będącą wynikiem złego wychowania, albo jakiejś wady ustrojowej“.

Im przyjemniejszem jest wrażenie, tem silniej wiąże uwagę i ciekawość. W myśl tej zasady nie powinniśmy uczniom narzucać nauki przymusowo, lecz wrodzoną ich ciekawość niespostrzeżenie do nauki wabić. Wprawdzie trzeba uczyć wielu rzeczy nie koniecznie przyjemnych, lecz obojętnych, to jednak wplątując w nie rzeczy przyjemne, możemy powoli przyzwyczajać do twardej pracy. Nawet w tak suchej matematyce należy podsycać zadowolenie z rozwiązywania trudniejszych problematów, a uczeń stanie się zdolnym do najczystszej umysłowej rozkoszy.

Mimo ciągłych nawoływań, że nauka ma być dla nauki, powtarza się w wychowaniu zawsze ten błąd, że podsuwamy jej inne motywa. Pominąwszy różne horoskopy, karjery, jedni uczą się z bojaźni, drudzy z miłości dla swych wychowawców; jedni wołają do dziecka z groźbą: „ucz się, bo dostaniesz bicia, albo nie dostaniesz jeść i t. d.“; drudzy znowu odzywają się z egoizmem: „ucz się, jak mnie kochasz“; albo z obiecankami, jakby za usługę: „ucz się, a dostaniesz cukierków, nowe suknie i t. d.“; — rzadko zaś kto ma tyle zdolności lub szczerych chęci, aby dziecku tak umiał uprzyjemnić naukę, żeby ono samo jej pragnęło. Uprzyjemnienie nauki, to nie degradacja jej do rzędu próżnych zabawek, to postulat największej ścisłości, to liczenie się ze skutecznością i trwałością nauki! Wszak i w zabawach zachowywaną bywa taż sama zasada! Czyż można żądać od dzieci, aby się one,

jak starsi np. szachami bawiły? i czyżby to je zabawić a nie unudzić mogło? Miałyżby więc one w nauce zajmować się tem samem, co starsi? Tak pod względem formy jak i treści nauki winniśmy zachować miarę wedle wieku ucznia, i baczyć ciągle na to, co go najwięcej zająć może. Tylko taka nauka, tylko taka pilność ucznia doprowadzi do celu, podczas gdy rózgi ~~lub cukierki~~, groźby lub pieszczoty nie zawsze i nie długo mogą służyć przy nauce, a chociaż służą, to więcej szkodzą, niż pomagają.

Do nieprzyjemności, jakiemi często traktują wiek młodociany, należą kary cielesne. Od wieków pracują już pedagogowie nad usunięciem tego barbarzyństwa i wykazują, jak je zastąpić środkami wychowawczymi, któreby odpowiadały cywilizacji, a przecież w praktyce nieznaczny tu postęp widzimy. Zdobyliśmy się wprawdzie na zniesienie kar cielesnych dla zbrodniarzy i gotowibyśmy niemal łzy ronić, gdyby ich tak męczono, nie mamy tylko litości dla własnych dzieci, i owszem wychwalamy nawet „żelazne,“ harapowe wychowanie. Szeregi wsteczników, wołających zawsze i wszędzie, jak to „dawniej lepiej było,“ wzdychają nawet z żałobą, że w szkołach zniesiono kary cielesne, i że stracili oni w profesorach wprawnych pomocników do obijania dzieci. Że wszyscy nie umieją filozofii, nie dziwna, bo się nią nie zajmują; że rodzice nie umieją często wychowywać dzieci, rzecz naturalna, bo się tego nie uczą. Łatwiej krzyczeć, wywijać kułakami i kijami, targać za uszy i t. d., niż zasiąść ze skupioną uwagą do książki i nauczyć się, jak to poskramiać swawolę dzieci w sposób ludzki, a zarazem bardziej skuteczny.

Temat to rozległy i ciekawy, aby jednak nie odchodzić daleko od rzeczy, wspomnę tu tylko dla illustracji „żelaznego“ wychowania o znanych mi przykładach, jak to dziecko na tem cierpi nawet umysłowo. Oto znałem kilku chłopców, którzy w skutek ciągłego nakrzykiwania „na całą kamienicę“ i bicia osobliwie po głowie, stracili wymowę i jąkali się tak, że trudno było z nich co wydobyć a i w myśleniu byli tak powolnymi, że do najmniejszej pracy umysłowej potrzebowali bardzo wiele czasu. Inni z tego samego powodu, a w szczególności w skutek bicia po głowie, mieli widocznie mózg wstrząśnięty, bo, siedząc nawet spokojnie przy nauce mieli ciągle myśli rozstrzelone, i nie zdołali ani na chwilę skupić uwagi, mimo niezaprzeczalnych zdolności, jakie chwilowo rozwijali, gdym ich za pomocą różnych fortelów doprowadzał do przytomności. Precz więc z takimi „środkami pedagogicznymi,“ które sprowadzają zabukanie i ogłupienie dzieci! Nie „Pan Bóg karze bałwanami,“ lecz w takim razie sami rodzice swem postępowaniem „zbałwaniają“ dzieci! Proszę nie odsuwać od siebie winy, jest ona bardzo bliską! Lekarstwem — u c z y ć s i ę pedagogii a nie wykrzykiwać i wymachiwać kułakami i kijami, co i manekin potrafi! Człowiek ma być przecież istotą rozumną! Należy więc zaoszczędzić wydatków na rózgi, trzcinki i harapy, a za bardzo tanie pieniądze kupić sobie np. dziełko H e r b e r t a S p e n c e r a: O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznem (jest ono także na polski język przełożone przez S i e m i r a d z k i e g o) i nauczyć się ztamtąd „systemu kar naturalnych“ t. j. jak należy karcić wybryki dzieci bez kija.

Najuroczystszy zaś protest zanosimy tu przeciw obijaniu chłopców przez profesorów po szkołach nawet gimnazjalnych, co się sporadycznie odbywa cichaczem, wbrew prawnemu zniesieniu kar cielesnych. Wysłużeni kaprale, jacy dawniej bywali nauczycielami ludowymi, mogli przy niskim poziomie wiedzy i zupełnym braku wykształcenia pedagogicznego, bawić się w podobne eksperymenta, odpowiednie dzikości ich obyczajów, mogli to, jak mogą dzicy Indjanie, — nie mogą zaś dziś ludzie, którzy mają dzieciom imponować nie kijem, lecz nauką, nie siłą fizyczną, lecz umysłową. Pytamy wreszcie, czy takie borykanie się może przynosić zaszczyt profesorowi a nie ubliżać wysoce jego powadze? Funkcja to wcale nie honorowa! A chociaż nawet ten lub ów przechwala się, że w swej surowości ma taką „powagę“ w obec chłopców, że całkiem dobrowolnie, z pokornem poddaniem się wytrzymują łaskawy grad jego kijów, to przecież pozwalamy sobie zapytać się, ile razy zawodzi owa „powaga“ i powoduje prostą, uliczną bitkę? To już rzecz wcale nie honorowa! Jeżeli więc już nie względy naukowe, pedagogiczne, to wprost poszanowanie własnego honoru dyktuje profesorom: zostawić bijatyki ludziom niewykształconym, którzy nie umieją inaczej okazać swego gniewu ani załatwić inaczej możliwych scysji. Zwolennikom bezwzględnej surowości oświadczam, że znałem pewnego profesora, którego chłopcy „bali się jak ognia,“ który jednak nigdy nie dotknął nawet ręką żadnego ucznia. Surowość to nie kij! Lecz nawet zamiast stanu oblężenia z wojennem prawem bezwzględnej surowości, najlepiej ponoś nadaje się pokojowe postępowanie, które zjednywa dla wychowawcy miłość i szacunek, byle nie popadł w zbytnią pobłażliwość.

„K a ż d y w i e k m a s w o j e p r a w a.“ Prawidło to obejmuje właściwie cały sposób stosowania wychowania do wieku, w potocznej jednak mowie ma ono kierować moralnem wychowaniem młodzieży. Mimo to tysiączne błędy dzieją się przeciw niemu. Rzecz cała rozchodzi się o to, gdzie leży granica między swawolą a przyzwoitością, skoro przyznać musimy, że młodzież jest ruchliwą. Najnieznośniejszym i najprzeciwniejszym naturze wieku błędem jest to, że wielu chciałoby mieć z dzieci młodych starców, którzyby godzinami siedzieli „grzecznie“ z założonemi rękami i milczeli po pytagorejsku, wsłuchując się w rozmowę starszych, której nie rozumieją, albo przy której tylko nudząc się mogą wreszcie zasnąć. W ogóle byłoby mniej skarg na niegrzeczność i rozpustę dzieci, gdyby je umiano to nauką to zabawami należycie zatrudniać. Próżniactwo jest głównym powodem ich wybryków, których nie usunie sam gniew, lecz dopiero sumienne zajęcie się dziećmi i wskazanie im, jak mają czas przepędzać. Nie wystarcza hańbić za złe, trzeba także uczyć dobrego!

Znaną jest u dzieci skłonność do pieszczot: lubią one całować rodziców i chcą być nawzajem całowane, a nie masz w tem u nich ani śladu namiętności, jest to tylko ich czystą formą, wyrazem miłości. Lecz do czegoż to te całusy nie prowadzą nieraz? ileż to kwasów nie powodują one? Wychuchanie maminków to główny ich grzech. gdy nadużyte zostaną podobnie, jak rządy dzieci, gdy całus ich wszystko pokonywa. Gdy jednak najnaturalniejsza nawet rzecz nieodpowiada za nadużycia, jakim ulec może, przeto też dziwaczną wydaje się nam obawa niektórych rodziców, którzy dla okazania swej „żelazności“ odsuwają dzieci całkiem od swych pieszczot i gniewają się nawet na nie, gdy się one poważą złożyć całus na ich Jowiszowej twarzy. Takie pawie nadymanie się w obec dzieci nie tylko jest śmiesznem, lecz co gorsza zobojętnia je nawet całkowicie i sprawia co najwięcej „psie przywiązanie,“ które wiąże psa do pana odpychającego go, u dzieci zaś odzywa się tylko chwilowo i to głównie dopiero po stracie rodziców, bez względu na to, jakimi oni byli. Że jednak „psie przywiązanie“ milczy za życia rodziców, więc nie dziw, że prawdziwa miłość (ludzka) jest takim dzieciom obcą. Mimo to słyszałem skargi „żelaznych“ ojców, że ich dzieci nie mają żadnej miłości dla.... ich kija!

Względem wieku młodzieńczego zdarza się znowu często zbytnia pobłażliwość, która niemoralną nawet lamparterję wytłumacza niedorzecznym frazesem, że „młodzieniec musi się wyszumieć!“ Podobne absolutorjum jest rzeczywiście nader demoralizującem, głosi bowiem, że wyuzdanie obyczajów jest rozwojową koniecznością, którą człowiek przebyć musi. A przecież bezmyślny ten zlepek słów utrzymuje się uporczywie, i uchodzi nawet

często za wytrawne zdanie doświadczonych moralistów!

Oto kilka uwag o wpływie fizycznego wieku ucznia na rozwój jego sił umysłowych, i o ogólnych prawach wieku w wychowaniu! Na zakończenie jeszcze słów parę!

W szeregu nauk, wchodzących w skład wychowania, możemy się dopatrzyć braku wielu gałęzi wiedzy ludzkiej, któremi dla ich doniosłości z większą lub mniejszą korzyścią możnaby uzupełnić ogólne wykształcenie. Dla braku czasu pomijamy je jednak w wychowaniu „urzędowem“ czyli szkolnem, i pozostawiamy je dobrej chęci zapoznania się z niemi w lekturze prywatnej. Niestety lektura prywatna jest aż zbyt prywatną, i rzadko kiedy kierujemy nią należycie, tak, że chłopiec czyta bez porządku to, co mu wpadnie w ręce. Lektura ta odnosi się wreszcie zwykle tylko do literatury nadobnej, a pomija zupełnie inne dzieła. W późniejszem życiu pilnuje każdy w najlepszym razie tylko swej specjalności a rzadko „bawi się w dylletanta,“ który pragnie wszechstronniejszej wiedzy tak, że ostatecznie po za specjalnym kierunkiem wykształcenia wiemy o reszcie nauk tyle, ile uczyliśmy się w szkołach. Wszechstronne wykształcenie kończy się zatem w gimnazjum. później mało kto o niem myśli bo sądzi, że już się dość uczył wszystkiego! Pomijając specjalistów, pracujących ciągle w obranym kierunku, widzimy ze smutkiem, że nieprawdziwem jest zdanie, jakoby „uczono się przez całe życie,“ że owszem ludzie uczą się tylko do ukończenia gimnazjum lub uniwersytetu, a później cała ich nauka jest więcej zbiorem praktycznych doświadczeń życia, niż umysłową nauką. Stąd to filozofia, prawa, medycyna i t. d. są jakby przywilejami pewnych kast a tajemnicami dla innych, stąd to ów obskurantyzm a nawet dzikie zdania, jakie krążą o tych umiejętnościach w pośród „niewtajemniczonych w ich tajniki.“ Jakkolwiek z tych powodów ponosimy często dotkliwe szkody za nieuctwo w późniejszem życiu, to przecież jakie takie usprawiedliwienie możnaby na to znaleść, nie mamy go tylko w obec najwyższej lekkomyślności, z jaką obchodzą się ludzie z tak ważną dla wszystkich nauką jaką jest pedagogia. Tysiące nieszczęśliwych ojców, skarżących się na swe „niepoprawne“ dzieci, nie powinno składać na Boga, że ich „ukarał tak złemi dziećmi“, powinni oni to raczej przypisywać swemu nieuctwu, swej nieudolności w prowadzeniu dzieci. A ileż to ludzi oprócz nauczycieli zajmuje się „pedagogią? Dlaczegoż tylko nauczycieli nazwano pedagogami, a nie są nimi wszyscy wykształceni rodzice? Zaiste! gdyby rodzice poznali swe rozliczne błędy w wychowaniu dzieci, gdyby zrozumieli, że oni sami a nie kto inny ani żadne fata są powodem wielu nieszczęść, w jakie wtrącają dzieci i samych siebie, wtedy ta sama myśl mogłaby ich doprowadzić do rozpaczy. Aby jednak z dzieci „doczekać się szczęścia“, aby „z dziećmi mieć raj a nie wieczne piekło“, nad tem warto się głębiej zastanowić, o tem warto coś przeczytać, co nauka padagogji z doświadczenia od wieków gromadzi. Jeżeli dla należytego prowadzenia gospodarstwa czytamy dzieła o chowie bydła i drobiu, niechże i dzieci nasze nie będą od zwierząt gorszemi, wszakżeż i one należą co najmniej również do gospodarstwa!

Kiedy jednak lekkomyślność ta jest tak głęboko wkorzenioną, że mało kto sam się od niej uwalnia i sam przekonuje się, że wychowanie dzieci jest nauką, której się uczyć trzeba a nie rzeczą, która sama z siebie zrodzi się w głowie, kiedy więc tyranje albo anarchje są najzwyklejszą formą rządów domowych, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko w ten sposób zapobiegać przymusowo tej niepoprawności rodziców, aby ich za młodu uczyć w szkołach pedagogii. Żądanie to wyraził między innymi H. Spencer, który powiada że „jak do rzałość fizyczną cechuje zdolność prokreacji dzieci, tak dojrzałość umysłową powinna znamionować zdolność wychowywania potomstwa“. Żąda więc, aby nauka pedagogii weszła także w skład wychowania, aby stanowiła zakończenie i uwieńczenie nauk. Zdanie to podzielam w zupełności, że jednak nie mam dość wiary w lekturę prywatną, więc powtarzam z naciskiem, że nauka pedagogii powinnaby wejść w program wykładów jeżeli nie w ósmej klasie gimnazjalnej, to we wszystkich wyższych zakładach naukowych, jak uniwersytetach, technikach, akademiach rolniczych, lasowych, handlowych, górniczych i t. d., gdzieby była obowiązkową dla słuchaczy wszystkich wydziałów.

Bocian.

Nowella przez Elie Bertheta.

II.

Upłynęły dwa lata, a Kasia stała się pierwszorzędną szwaczką w zakładzie cioci Silberger.

Stara babka do której pisywała czułe listy posyłając jej każdego miesiąca 10 franków oszczędzonych z wielką mozołą, umarła wkrótce po wyjeździe Kasi, zostawiając jej błogosławieństwa.

Kasi nie tak źle bardzo działo się u cioci Silberger. Właścicielka zakładu przyzwyczajona do licznego zastępu robotnic, była nieubłaganą dla lenistwa i miała sposób mówienia, który niepozwalał na replikę. Ale siostrzenica jej miała pewne przywileje, a w ogóle, p. Silberger obchodziła się z nią prawie jak z własną córką. Jedynym powodem do wyrzutów i łajań Kasi był zwyczaj jej czysto paryski, który nazywają „wałęsaniem się“. Kasia posyłana była często dla spróbowania sukni i zaznaczania potrzebnych przeróbek, i wtedy to wydarzało się często że idąc czy wracając młoda Alzatka opóźniała się zapatrzona w prześliczne wystawy, jakich jest tyle w Paryżu, a kiedy wracała następnie później jak była powinna nieraz spotykały ją wymówki.

Ciotka i siostrzenica często odwiedzane były przez Karola Dimera, który pracą i inteligencją zdobył sebie świetną pozycję w swym fachu; ale wbrew nadziejom nieboszczki babki, młody mechanik nie robił zbyt szybkich postępów w sercu swojej kuzynki. Był mały, chudy i ryże miał włosy. Chociaż ubrany zawsze czyściutko, w sukniach zawsze źle przykrojonych niewyglądał ponętnie; ręce jego pomimo używania rozmaitych mydeł, były ostre i plamiste. Chód miał ciężki, a akcent alzacki wymowy jego raził niemile ucho. Wszystko to niepociągało rzecz oczywista, Kasi; umiała ona cenić zalety Karola, ale płocha, jak zwyczajnie młoda dziewczyna, kto wie czy nie byłaby wolała w nim widzieć raczej kilka wad olśniewających. Daleko więcej podziwiała ona niejakiego Gabrjela Aubry, urzędnika, a raczej naczelnika oddziału w pewnym magazynie nowości rue du Bac. Był to wielki delikacik, ubrany zawsze elegancko, broda jego zawsze ufryzowana, a włosy starannie uczesane przypominały owe głowy woskowe służące za wystawę fryzjerom. Kasia kupując materje w magazynie, gdzie zajęty był p. Aubry, była nieraz przedmiotem usłużności i nadskakiwania zstrony pięknego kupczyka. Mówił on jej słowa pochlebne, komplimenta i słodkim na nią patrzył wzrokiem. Ona nieodpowiadała wcale na to wszystko lub odpowiadała kłopotliwym uśmiechem. P. Aubry miał ręce bieluchne, paznogcie różowe, a pokazywać je umiał wybornie na tle odmierzanego jedwabiu lub aksamitu! Surdut jego wybornie wcinał się do figury a włosy pachniały prześlicznie! Ach! to niebył człowiek taki jak ten biedny kuzynek, Karol Dimer.

W krótce p. Aubry zaczął śledzić jej kroków i zaczepiał ją nieraz kiedy wyszła za sprawunkami; a w tedy trudno było nie odpowiadać na pytania tego człowieka, pełnego dystynkcji, który dowiadywał się o nią, o ciotkę, o wszystkich, którzy jej byli bliżsi. Kasia rumieniła się, jąkała, wydusiła czasem ledwo jedno zgłoskową odpowiedź, ale mło-

dy kupczyk miał dosyć doświadczenia i czuł, że Kasia złem się na niego niepatrzy okiem.

W ten sposób, jak? trudno powiedzieć, stało się, że pewnego dnia Kasia wracając od żony jakiegoś profesora z Muzeum, dokąd zaniosła suknie spotkała nagle p. Aubry w Jardin des plantes.

W dniu tym p. naczelnik oddziału w magazynie nowości przystroił się prześlicznie; miał na sobie krótki surducik czarny z białą kamelią w dziurce od guzika, jasne pantalony i krawatkę, uwiązaną w zbytkowny fontaź. W ręku trzymał elegancką laseczkę, a za każdym ruchem rozprzestrzeniał w około wonie jaśminu i wanilii.

I Kasia była ubraną przypadkowo bardzo ładnie, ładniej niż zwykle i wyglądała nader powabnie.

Kiedy się spotkali w wielkiej alei, Kasia zarumieniła się mocno i spuściła oczy, p. Aubry powitał ją w sposób ceremonialny.

— Prześlicznie, — rzekł Aubry tonem, który miał udawać namiętność, — oh, jakże mam pani podziękować za to, żeś przyszła!

— Ależ, panie, szeptała Kasia z udaniem, — nie pojmuję pana... Nie spodziewałam się wcale... przypadek ten jest tak niespodziany...

— Istotnie odrzekł Aubry przymrużając oczy i głaszcząc ręką bokobrody; — mimo to jednak sądzę, że pani przyjmiesz ramię moje i.., przejdziemy się razem po ogrodzie?

Ładna szwaczka drżąc położyła swoją piękną łapkę, ukrytą w rękawiczkę szkocką, na ramieniu p. Aubry. P. Aubry odwrócił się z miną pełną tryumfu i oboje razem ruszyli w ogród.

Przechadzka była długa. Piękny kupczyk mówił i mówił bez końca; Kasia słuchała go z początku z bojaźnią nie śmiąc ani odpowiadać ani spojrzeć w towarzysza. Zwolna jednak ośmieliła się i ożywiła; łono jej wznosiło się coraz gwałtowniej, oczy zabłysły. Milczała ciągle, ale dwa lub trzy razy ośmieliła się przecież silniej przycisnąć ramię, na którem opierała swe rączęta.

Aubry widząc wyraźny sukces, coraz bardziej rósł w zapał i wymowę. I cóż on mówił biednej Kasi. Nie wiem; w pewnych okolicznościach, młody chłopak ma tyle do powiedzenia pięknej dziewczynie! Zresztą natura, przez przekór prawdopodobnie uczyniła te stworzenia o tyle łatwowiernemi, o ile są one niewinne. Szef oddziału w magazynie nowości zakończył rozmowę słodką propozycyją wnosząc, aby Kasia do jego pokoju w ulicy sąsiedniej poszła odpocząć na chwilę. Kasia odmówiła, lecz p. Aubry nierobił sobie wiele z tej odmowy, a przemawiając coraz czulej i namiętniej, ciągnął piękne dziecię drżące i szepcące mnóstwo wymówek, dalej za sobą.

W tej chwili oboje przechodzili przez menażerję aby przejść na rue Monge, gdzie mieszkał p. Aubry. Szef oddziału przybierał coraz bardziej minę zwycięzcy; uśmiech pełen pewności siebie otoczył mu usta, gdy nagle uczuł, że Kasia coraz silniejszy stawia mu opór. Zatrzymał się. Stanęli przed sadzawką menażerji, a tam za kratą kąpało się mnóstwo ptactwa wodnego — i wszystkie ciekawie patrzyły na przechodzących.

Kasia wpatrzyła się w te ptaki... niema; z piersią zadyszaną. Ale nie różowe flamingi, nie ibisy ogniste a ani srebrne czaple były przedmiotem uwagi pięknej Alzatki, uwagę jej zwrócił bocian melancholiczny, stojący zwyczajem swoim na jednej nodze, który patrzył na Kasię okiem smutnem, tajemniczem, głębokiem, jakby chciał jej czynić wyrzuty.

Nikt nie zdoła opisać jak strasznie ścisnęło się serce Kasi na widok tego ptaka, który wzbudził w niej wspomnienia przeszłości.

— Bocian! bocian! szeptała głosem konającego.

I łzy obfite zrosiły jej policzki. Kupczyk nie mogąc pojąć nagłego wzruszenia Kasi, rzekł niecierpliwie:

I cóż, Kasiu! o czemże myślisz, dziecko? Mamyż tracić czas patrząc na te ptaszyska?

Chciał ją pociągnąć dalej, ale daremnie.

— Strasburg! — szeptała Kasia patrząc w sadzawkę błędnem okiem; Strasburg, gdziem się urodziła... Moja babcia droga... umarła... Moja babka, która żegnając kazała mi przysięgnąć!...

— Kasiu! — przerwał jej Aubry, — ależ to nie ma sensu... pójdźmy!...

Chciał ją znowa chwycić za rękę, ale Kasia odtrąciła go gwałtownie i rzekła stanowczym głosem:

— Odstąp pan; ja nie powinnam słuchać pana,... słuchałam pana już za długo. Zostaw mnie pan; wracam do ciotki... i więcej już się nie zobaczymy!

— Ah, czyś szalona?

— Zostaw mię pan, powtarzam... Żegnam... Nie idź pan za mną i nie zbliżaj się do mnie,... albo zawołam...

Zgubiła się w tłumie i znikła.

* * *

W trzy miesiące później, Kasia była żoną Karola Dimera.

A obecnie? mąż pracuje i żona pracuje a dobytek rośnie. Szczęśliwi są i oboje wystarczają sobie, a myślą o dobru innych.

Petőfi Szandor

Szkic biograficzno - literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

(Ciąg dalszy).

Działalność literacka Petőfiego trwała zaledwie lat kilka, mianowicie 5, jeżeli policzymy czas od wydania pierwszego zbiorku poezji w r. 1844 do zgonu w r. 1849, a 7 do 8, jeżeli uwzględnimy pierwsze prace drukowane po czasopismach. Przez ten krótki przeciąg czasu napisał 774 utworów lirycznych, 11 epicznych, 2 dramatyczne, 1 romans, cały szereg artykułów dziennikarskich, nadto przetłómaczył wprost z oryginałów „Koryolana" Shakespeare'au, kilka piosnek Schillera, Bérangera, Heinego, Moore'a, elegię Matthisona i kilka romansów francuskich i angielskich; wreszcie pozostały po nim rozmaite listy i dziennik spisywany od dnia 15 marca 1848 a zawierający polityczne jego zapatrywania. *)

Rozmiary niniejszego szkicu nie pozwalają nam na szczegółowy rozbiór dzieł poety, ograniczamy się przeto tylko na ogólnej ich ocenie i na wskazaniu wybitniejszych rysów charakteryzujących je a zarazem jako illustracje do słów naszych podamy niektóre utwory, o ile oczywiście wśród skromnej liczby polskich przekładów poezji Petőfiego dadzą się odszukać stósowne ustępy.

Z wyliczenia powyższego widzieliśmy, jak różnorodną i jak płodną była działalność literacka naszego poety a ponieważ płodność autora nie zawsze idzie w parze z wartością jego utworów, przeto przedewszystkiem zaznaczyć nam wypada, że w niniejszym wypadku podobny objaw bynajmniej nie zachodzi. Owo zdanie da się ze skutkiem zastosować tylko do niewielkiej liczby utworów Petőfiego które mu się nie udały, bo snać nie leżały w zakresie jego talentu — mamy tu na myśli jego romans i dzieła dramatyczne, o czem zresztą poniżej dokładniej nadmienimy, — natomiast na polu, na którem poeta był najpłodniejszym t. j. na polu poezji lirycznej, jest on właśnie najgenialniejszym.

Utwory liryczne stanowią główną siłę Petőfiego i na nich też opiera się jego znaczenie w literaturze. Zdaniem krytyków i znawców literatury powszechnej mało kto mu dorównywa na tem polu, w literaturze wę-

*) Ciekawe zestawienie statystyczne liczby lirycznych utworów Petőfiego a innych znakomitszych poetów z literatury europejskiej podaje p. Kertbeny wspomnianej powyżej broszurze „Petőfi's Tod". Według niego (str. 34) Goethe napisał przez całe swe życie 334 lirycznych utworów, Schiller 177, Platen 407, Heine w 3 tomach 498, Béranger 414, Lenau 143, Karol Beck 122 — Petőfi zaś 775 utworów lirycznych w przeciągu lat 5! O naszych poetach nie ma wzmianki.

gierskiej zaś nikt go nie przewyższył. W tych kilkuset pieśniach odbija się jakby w zwierciedle cała postać poety w najdrobniejszych szczegółach, jego życie, plany, marzenia, pragnienia, powodzenia i zawody, radość i smutki, w ogóle uczucia wszelkiego rodzaju, jakie nim władały, w nich także znajdujemy wierne odbicie owych czasów, wśród których poeta żył i działał a naród węgierski najpierw pogrążony był w uspieniu, następnie zaś obudziwszy się zeń walczył, cieszył się i cierpiał...

Odpowiednio do tej całej skali uczuć, jakie się wysnuwały z duszy poety, umie on dostroić struny swej lutni: wesoło brzmi jego piosnka biesiadna, rozrzewnia pieśń smutku, czaruje miłosna spiewka, porywa pieśń bojowa; dłoń poety wydobywa z lutni z równem mistrzostwem dźwięki „łzawe, tęskne lub skoczne.“ Tę różnolitość uczucia i różnorodność pieśni pięknie charakteryzuje on sam w jednym z najwdzięczniejszych swych utworów p. t. „Dalaim“ (Moje pieśni), który tu w całości przytaczamy:

Często w marzenia zatapiam się fali,
I snuję myśli wciąż dalej i dalej,
Przebiegam niemi ojczyste me strony
Niebo i ziemię od końca do końca,
I płyną pieśni z duszy rozmarzonej
Niby promienie miesiąca.

Zamiast się karmić wrzących ułud zdrojem,
Czyż lepiej w przyszłość patrzeć z niepokojem?
Nie chcę drżeć smutnie o przyszłości chwile...
Bóg dobry.. przyszłość zdajmy na sąd boski...
I lecą pieśni z mej duszy bez troski
Jako wesołe motyle.

Gdy wzrok mój spotka mojej lubej oko,
Natenczas grzebię me smutki głęboko,
Toną me oczy w spojrzeniu wybranej,
Jak tonie gwiazdka w jeziora lazurze,
I kwitną pieśni w duszy rozkochanej
Jak dzikie polne róże.

Kocha... to kielich szczęścia wznoszę w dłoni,
Gardzi.. to smutek topię w jego toni,
I kiedy czara z napojem zadźwięczy,
Wesołość nowa odradza się w pieniu,
Błyskają pieśni moje w upojeniu
Jak łuki jasnej tęczy.

Lecz gdy ze szklanką w biesiadniczem kole,
Wspomnę na wielką mych braci niedolę
Próżnoby toast wesoły wznoszono,
Mię odgłos jęku dochodzi ponury,
I ciężą pieśni nad duszą strapioną
Jak burzą groźne chmury.

Ludu mój! czemuś takiej słabej duszy?
Czemu twój wybuch twych oków nie skruszy?
Czekasz aż plamy przegryzą je rdzawe
Na rękach twoich i na twoich nogach —
Oto ci ciskam pieśni o twych wrogach
Jak błyskawice krwawe!

Dwa ostatnie wiersze każdej zwrotki (w oryginale przedostatni wiersz zawsze się powtarza) w tym utworze malują nam stan duszy w jakim poeta się znajduje w każdym poszczególnym wypadku i odpowiedni temu rodzaj pieśni.

Oczywiście że do należytego oddania tylorakich uczuć potrzeba było i form najrozmaitszych; jak dzielnie umiał Petöfi wywiązywać się z tego zadania, świadczą najwymowniej jego piosnki ludowe tak melodyjne, że nuta do nich prawie sama się znalazła, świadczą także bojowe pieśni, które wstrząsają słuchaczem do głębi, tak nietylko słowo ale i rytm oddaje całą grozę walki. Przyznać jednak należy, że poeta nie zawsze okazuje równą staranność około zewnętrznej formy swych utworów, przeciwnie często popełnia wybryki, które do rozpaczy przywodzą tłumaczów jego poezji, niejednokrotnie zaś nawet wprost zaniedbuje formę. On sam czuje to bardzo dobrze a nawet przyznając się do winy nadaje z tego powodu swym wierszom miano „obdartych rycerzy“ (rongyos vitézek), przytem jednak w ten sposób się usprawiedliwia:

I jabym umiał wiersze moje
Przystroić blaskiem świetnych szat,
Na pańskie posłać je podwoje
W wir towarzystwa, w wielki świat

Lecz poeta nie chce ich puścić na tę drogę i krępować ich zapału świetnym strojem, przed nim bowiem daleko ważniejsze zadanie:

Nie grzmią dziś działa, dźwięki mieczy
Ucichły, w kątach żre je rdza,
Ale trwa wieczny bój człowieczy,
Idei walka wieczna trwa.

Z orszakiem licznym, zbrojnym szykiem
I ja w ten wielki ruszam bój,
I walczę pieśnią... Zapaśnikiem —
Rycerzem jest wiersz każdy mój.

Chociaż obdarci to szermierze,
Lecz mężnie walczyć idą w świat,
Bo tylko dzielność czci rycerze*)
A nie wytworność barw i szat.

Tak piękną obronę musimy przyjąć przychylnie zwłaszcza, że powyższe słowa nie są czczym tylko frazesem, lecz owi „rycerze“ naszego poety rzeczywiście na polu walk idei staczają boje i dzielnością swą umieją zdobyć sobie pochwałę a — wyjątkowe zresztą — wystąpienie ich w szatach, nie całkiem dobrych, wynika prawdopodobnie tylko z pospiechu i zapału do walki.

Ogólnem znamieniem, cechującem wszystkie utwory Petöfiego a czyniącem go poetą narodowym w całem znaczeniu tego słowa jest swojskość, rodzimy charakter przedmiotów, które do swych pieśni wprowadza.

*) W tym wierszu, jak łatwo odgadnąć, przekład kuleje nieco.

Pegazem moim nie angielski koń
Wysmukły, wiotki, z szczudłowemi nogi,
Nie moim stępak meklemburgskich błoń
Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim kary jako mrok,
Węgierski rumak, krwi madjarskiej czystej,
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok
W zwierciedle jego sierści jedwabistej.

Nie wstajni zrodzon, nie przechodził szkół,
Jak konie stadnin i zawodów pańskich,
Wzrósł bez wędzidła, karmią stepnych ziół
Jam go na piaskach schwytał kiszkumańskich.

Tymi słowy wskazuje poeta dosadnie na ów narodowy charakter swej muzy, który też przebija się w jego pieśniach na każdym kroku.

Pötefi wzrósł i wychował się wśród stepów Małej Kumanii, następnie w czasie ustawicznych wędrówek swych przebiegał cały kraj rodzinny, zachwycał się jego pięknościami i przylgnął do nich gorącym sercem. Stykanie się ciągłe z ludem, już od lat najpierwszych, pozwoliło mu zgłębić charakter, doznać ideały i upodobania jego równie dobrze, jak rzeczy dlań nie miłe lub wstrętne, jednem słowem pozwoliło mu zbadać zapatrywania ludu w każdym kierunku. To też nikt nie umie tak wiernie oddać charakteru ludu węgierskiego, nikt nie maluje tak wdzięcznie piękności węgierskiej krainy, jak Petöfi. Z drugiej strony nie dziw, że i naród przylgnął do poety i całą duszą pokochał jego pieśni· Petöfi bowiem pierwszy wydobył z ukrycia rzeczy swojskie, rodzime, tak drogie narodowi i tak piękne zarazem. W pieśniach jego nic obcego, nic niezrozumiałego; on wielbi Dunaj i Cisę, podziwia piękności węgierskich nizin, czarownie ożywia pusty i csardy i wprowadza w utworach swych typy zupełnie ludowe jak czikosz, juhas i t. p.*)

Dodajmy do tego, że uczucia swe maluje poeta w sposób prosty, naturalny i zgodnie z prawdą, a zrozumiemy olbrzymie powodzenie, jakie piosnki jego u ludu znalazły, zrozumiemy, że lud upodobawszy sobie w nich sam nutę do nich dorobił i za swoje je przyjął.

Jako illustrację do słów naszych podajemy tu kilka piosenek, noszących na sobie takie znamię zupełnie swojskie. Następującą spiewa lud węgierski z upodobaniem:

Fajka mi zagasła w drodze,
Więc do chatki małej wchodzę,
Żeby, jeźli sie tam pali,
Dostać ognia i pójść dalej.

*) csarda (wym. czarda) gospoda samotna w polu, puszta (wym. pusta) step bujną trawą pokryty, csikós (wym czikósz) pasterz koni, juhász (wym. juhas) pasterz owiec)

Dawnom fajkę już zapalił
Jednakżem się nie oddalił,
Bo wstrzymały się me oczy.
Na dziewczynie, na uroczej.

Przyglądałem się dziewczynie,
Ogień buchał na kominie,
Lecz nad ogień — oczy miłej
Płomieniściej się paliły.

Padły na mnie ócz tych żary
I zaledwie dałem wiary!
W fajce ognia znów nie było,
Lecz me serce się paliło.

Inna znów, już nie tak dobrze oddana w tłómaczeniu, brzmi:

„Oj deszcz całusów pada
Z twych lic na moje lica,
Ma dusza tak im rada,
Tak serce się zachwyca!“

„Zazwyczaj gdy ulewa
Bywają błyskawice,
Są niemi, czarnobrewa,
Ogniste twe źrenice...“

„Bywają też i grzmoty,
Gdy się na słotę zbierze,
Uciekaj, Janku złoty,
Bo ojciec cię spostrzeże,“*)

Posłuchajmy teraz, jak poeta przedstawia typy ludowe węgierskie. Oto n. p. typ „czikosa“:

Jam zrodzon na stepie — bez dachu, bez chaty,
I rola dojrzałym nie dzwoni mi kłosem,
Mam pieska, konika, nie jestżem bogaty?
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem!

Na moim koniku wiatr gonię po świecie.
Na los mój z królewskim nie zmienię się losem;
Gdy oklep wronego dosiadam na grzbiecie,
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem!

Koszulkę i gunię we wzory mi szyła
Dziewczyna — różyczka, z wijącym się włosem;
Dziś jutro różyczka zaślubi mnie miła,
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem:

*) Tłumacz nie oddał wiernie nader wdzięcznej formy tej piosenki a treść ostatniej zwrotki zmienił w przekładzie. Daleko więcej zbliżony jest do oryginału przekład niemiecki p. Neugebauera; podajemy go tu w całości celem porównania:

's regnet, regnet, regnet,
Eine Küssefluth;
O, wie dieser Regen
Wohl der Lippe thut!

Regen, Regen führet
Blitze im Geleit:
Deine Augen blitzen
Herzgeliebte Maid.

's donnert, donnert, donnert
Uns im Rücken g'rad....
Täubchen, lass mich drücken,
Ha, dein Alter naht.

Postać czikosa w tej piosence przedstawiona więcej z poetycznej strony, ale poeta maluje nam podobne typy także i w inny sposób, oddając w obrazie swym realniejsze ich strony. Weźmy np. typ „betyara“:

Szybkim wiatr jest na przestworzu i ptak wśród [obszarów,
Szybką błyskawica;
Ale szybcej pędzi konno po stepie Madyarów
Betyar latawica.

Skradł klacz rano w Keczkemecie, a nim mrok [zachodzi,
Już z kradzieży plonem
Nie ulękły bystrą rzekę spiesznie w bród prze-[chodzi
Aż pod Sent-Martonem.

Jutro sprzeda w Feherwarze klacz i chwilę spędzi
Na mohorycz w szynku,
Ledwie szklankę swą wysuszy, znowu konia [zwędzi
Na tym samym rynku.

A pojutrze w Beczkerecie, wciąż w takiej [ruchawce
Goniąc za zdobyczą,
Znajdzie się na innym koniu.., na drewnianej [ławce
Gdzie rózgami ćwiczą.

Cały szereg podobnych, jak powyżej przytoczone, i piękniejszych jeszcze piosnek wyspiewał nasz poeta a wspólną ich cechę stanowi wspomniany już charakter wybitnie narodowy, rodzimy.

Taką wspólną cechę posiadają pieśni Petöfiego jeszcze i pod innym względem. Oto głównym motywem, jaki ożywia wszystkie niemal pieśni poety, jest jedno wielkie, potężne uczucie: miłość. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Karol Rawer. Polityczne znaczenie zjazdu gnieznieńskiego w r. 1000. Studyum krytyczne.)

Pod tym tytułem wyszła nie dawno rozprawa historyczna jednego z młodych nauczycieli szkół średnich, należącego do małej niestety garstki naszych padagogów, którzy porzuciwszy ławy uniwersyteckie — nie porzucają zarazem pola, na którem się dotąd kształcili — lecz wolne od pracy uciążliwej chwile, poświęcają badaniom rzeczy ojczystych, czem się nie mało przyczyniają do poznania i wyświecenia mnóstwa spornych kwestyj w dziejach naszej politycznej przeszłości.

Jedną znajważniejszych kwestyj naszej przeszłości jest bezsprzecznie stosunek Polski do Niemiec. Już od początku naszego bytu politycznego musieliśmy baczne zwracać oko na Zachód, i grożący nam ztamtąd zagładą germanizm. Dzieje nasze od początku aż do końca 15· stulecia, to jedno nieprzerwane prawie pasmo walk o zagrożony byt polityczny. Przyniosła nam ta walka wiele licha. Bo zmuszając nas stać wiecznie pod bronią, kazała nam odkładać wewnętrzne sprawy, jak np. urządzeń społecznych i państwowych, w skutek czego zostaliśmy o całe wieki po za cywilizacją reszty Europy. — Ztąd też każdy szczegół odnoszący się do stosunków naszych z Niemcami, witamy z radością — z podwójną zaś rozprawkę p. Rawera, bo formą i treścią udowodnił młody autor, że umie pisać i że literatura nasza historyczna bogatszą się stała o jedną siłę, bardzo wiele rokującą.

Zjazd Ottona III. z Bolesławem Chrobrym w Gnieznie (1000 r.) miał podwójne znaczenie: religijne i polityczne. Religijna strona bardzo pobieżnie traktowana w rozprawie p. R. — bo też nie to było przedmiotem jego badań. Za to tem gruntowniej rozebrał i przedstawił stronę polityczną tego ważnego zjazdu. Zebrawszy skropulatnie wszystkie zapatrywania naszych i obcych pisarzy o zjeździe — wypowiada autor na podstawie sumiennego zbadania rzeczy swój sąd o tym fakcie, ze skromnością prawdziwego uczonego. „Oto w czasie zjazdu gnieznieńskiego — kończy autor — urzeczywistniło się owo wielkie dzieło usamowolnienia przez lat kilkadziesiąt krępowanego narodu; Polska od tego czasu ma przed sobą nową a wielką przyszłość otwartą, gdyż może działać sama, bez trwożliwego a zawsze niedowierzającego oglądania się na wrogich sąsiadów od Zachodu. Polskę przeto dopiero od r. 1000 zaliczać możemy do rzędu państw europejskich“. — *M. B.*

(Leopold hr. Starzeński: Sen trefnisia, komedjodramat w trzech aktach, wierszem. Lwów, nakładem księgarni K. Łukaszewicza. 1883.)

Hr. Leopold Starzeński jako autor dramatyczny, wyrobił sobie oddawna prawo obywatelstwa na scenie. Jego „Gwiazda Syberji“, napisana w szczęśliwej chwili pomimo wielu niekonsekwencyj w przeprowadzeniu charakterów, ma swoje momenta rozpalające słuchacza, i dla tego dawana była z powodzeniem na scenie. Inne dramaty tego samego autora nieprzemówiły już do ogółu tak gorącym językiem, a „Czaple pióro“, utwór słaby pod względem budowy okazał się po przedstawieniu równie słabym w założeniu, i zaledwie kilka razy ujrzał świa tłe kinkietów jako sztuka niedziel na.

Najnowszo komedjo-drama- hr. Starzeńskiego leżący właśnie przed nami, nigdy

niebył zdaje się przedstawiony w teatrze, należy mu to z pewnością policzyć za szczęście. W „Śnie trefnisia“ temat, sam przez się wcale nieszczególny, przeprowadzony jest w sposób prymitywny, którego monotonii nie przerywa i nie ozdabia nawet żaden efekt sceniczny. Figury dramatu są szablonowe i odróżniają się od siebie chyba tylko tem, że jedne są bardzo poczciwe, drugie zaś szkodliwe, a wiersz, który na scenie szybko mówiony mógłby być w najlepszym razie słuchany, w książce drukowanej czyta się chropawo i ciągle przypomina żmudne rymotworstwo.

Ton jego grzeszy anachronizmem. Autor wsadza w usta aktorom takie frazesy, które byłyby może bardzo dobre z końcem XVIII wieku lub później, za Jana Kazimierza jednak nie są wcale na czasie.

W ogóle ostatni dramat hr. Starzeńskiego, znany nam tylko z czytania, jest bezwarunkowo najsłabszym utworem tego autora, który widocznie nie wżył się w dzieje nasze dostatecznie, i nie umie pochwycić kolorytu odpowiedniego epoce. *X.*

Przegląd muzyczny.

„Requiem“ Cherubiniego, dzieło niepospolitych artystycznych piękności, zostało wykonane we środę przez „Lwowski chór męski“ na dochód funduszu emerytalnego orkiestry teatralnej. Nowszy kierunek muzyki może uważać „Requiem“ Cherubiniego za utwór nadto miękki w stosunku do tematu, szczególnie w ustępach ilustrujących grozę, mogą mu zarzucać w niektórych miejscach np. w „Pie Jesu“ pewną sielankowość, cechę szkoły włoskiej, ale pod względem głębokiego nastroju, bogactwa melodji i znakomitego wyzyskania tematów, dzieło to mało ma sobie równych. Misterne prowadzenie głosów, imponujące fugi, świetna a bogata instrumentacja, wszystko to składa się na całość prawdziwie imponującą. Jest to dzieło genjusza, i jako takie zostało uznane i będzie niem na zawsze, choćby nawet, o czem zresztą wątpimy, kierunek Wagnerowski zapanował wszechwładnie, i poszedł jeszcze skrajniejszym szlakiem.

Wykonania „Requiem“ wcale wzorowem nazwać nie możemy, choć jeżeli kiedy, to w tym razie przysłowie łacińskie: in magnis voluisse satis est, da się w pełni zastosować. W „Requiem“ są napiętrzone niezwykłe trudności; w basach jeszcze pół biedy — pierwszy i drugi bas idą po większej części unisono, i trzymane są w bardzo wygodnej pozycji — natomiast pierwsze i drugie tenory dzielą się jeszcze między sobą, co wymagą bardzo silnej obsady. Otóż właśnie tenory szwankowały i przedstawiały się wcale niekorzystnie w obec jędrnych i pełnych basów. Druga uwaga: forte były wcale dobre, ale piana słabo były wypracowane, wskutek czego chór prawie ciągle pokrywał orkiestrę, nie dozwalając jej wystąpić z lekko rzeźbionemi figurami. Zdaje nam się także, że w niektórych miejscach n. p. w „Dies irae“ tempo było za powolne, w skutek czego, najpotężniejszy ten, według naszego zdania, numer, nie zrobił należytego wrażenia. A propos tenorów zanotować jeszcze musimy, że jeden ze śpiewaków zanadto się forsował, aby innych przygłuszyć. W chórze — to występek, i na to dyrygent nigdy pozwolić nie powinien.

Wytknęliśmy strony ujemne — obowiązek nakazuje nam podnieść dodatnie. Najważniejszą zaletą produkcyj muzycznych jest czysta intonacja. Otóż pod tym względem chór i orkiestra trzymały się bez zarzutu. Wpadanie głosów odbywało się równo i w tempie, a nieliczne usterki pod tym względem zasługują na pobłażanie. Podnieść jeszcze należy pewność w atakowania trudnych interwallów i sumienną pracę wszystkich biorących udział w wykonaniu „Requiem“. Główną zasługę pod tym względem musimy przyznać p. Cetwińskiemu, który jako dyrygent wywiązał się ze swego zadania z niezwykłą u dyletanta wprawą i wytrawnością. Dyrygować rzecz tak trudną jak „Requiem“ Cherubiniego, dyrygować pełną orkiestrą i chórem złożonym z kilkudziesięciu ludzi — to praca, jakiejby się nie podjął niejeden z naszych zawodowych, renomowanych muzyków...

Przed „Requiem“ orkiestra pod kierownictwem p. Przibika, odegrała z precyzją i delikatnem wykończeniem „Taniec szkieletów“ Saint-Saensa.. *Cz.*

Nowości muzyczne.

Chcąc zadosyć uczynić zewsząd wyrażanym życzeniom pięknych czytelniczek, poświęcamy tę rubrykę naszego pisma — jak to już sam tytuł jej wskazuje, — pobieżnym wzmiankom o nowościach w świecie muzycznym. Clara pacta claros faciunt amicos... więc z góry zapowiadamy, że w ocenie wymienianych kompozycyj nie będziemy nigdy zapuszczali się w szerokie zawodowe krytyki; a w wyborze przedewszystkiem uwzględniac będziemy utwory polskich muzyków, z obcych zaś tylko takie, które mając wartość ogólną, z tego tytułu mogą liczyć i u nas na pewne zajęcie. Zaczynamy od tego, co się ostatnimi czasy u nas we Lwowie pojawiło.

P. Stanisław Niewiadomski, młody i zdolny kompozytor, który swoją podniosłą kantatą, napisaną na uroczystość 50letniej rocznicy listopadowej, a dalej innemi, nader wdzięcznemi utworami pieśniaskiemi (śpiewanemi zwykle na koncertach „Towarzystwa lwowskiego chóru męskiego“), dał się już poznać szerszej publiczności lwowskiej, jako talent niepośledni a rokujący świetną przyszłość na polu kompozycyj choralnych i solowych, wydał obecnie: „Cztery pieśni“ do słów Asnyka, mianowicie: „Zaczarowana królewna“, „Gdy ostatnia róża zwiędła“, „Serenada“ i „Barkarola“, z towarzyszeniem fortepianu (Lwów 1882 u Seyfarta i Czajkowskiego, Cena 1 zł. 20 ct.) Tak pod względem muzykalnego układu i przeprowadzenia świeżych i wdzięcznych motywów, jak oryginalnego akompaniamentu, najnowsze te utwory p. Niewiadomskiego, stanowią świeży dowód, że już obecnie zaliczyć należy młodego naszego rodaka w poczet najbardziej utalentowanych naszych kompozytorów pieśni.

„Ksawery Scharwenka“ nazwisko dla wielu obce, a to przecie rodak nasz z Poznańskiego, mający ogromny rozgłos za granicą, zwłaszcza w Niemczech, a nawet i w Londynie, gdzie dziś już muzykowi nie łatwo wypłynąć. Szczególne furore zrobił w Wiedniu jego koncert (B-mol dedykowany Lisztowi), a Hanslick nadzwyczaj pochlebnie się wyrażał niejednokrotnie o talencie ziomka naszego.

Z mnóstwa kompozycyj Scharwenki (jest ich już około 60) wspominamy dziś o 6 op. p. t. „Polnische Nationaltänze“ które autorowi zasłużoną sławę zrobiły, i uwagę krytyki i publiczności nań zwróciły. W oryginale na 2 ręce napisane, u nas prawdopodobnie z powodu że trudne, mało są znane; mimo to nakładcy sprzedali już pewnie z pół miljona egzemplarzy, z których wielka część poszła do Ameryki. Później wydano je w układzie nieco łatwiejszym, na 4 ręce, i w tem właśnie wydaniu polecamy „Polnische Nationaltänze“ naszym melomanom. Ostatniemi czasy pojawiła się także transkrypcja tych prześlicznych mazurów (jest ich tam 5.) na skrzypce, dokonana po mistrzowsku przez G. Holländera skrzypka.

Bardzo przychylnie przez krytykę warszawską został przyjęty i oceniony profesor konserwatorjum tamtejszego, Rudolf Strobl, za swój „Repertoire des pièces classiques et modernes p. Piano, choisies, revues et doigtées“. Podzielił go na dwie części „Morceaux faciles et de moyenne difficulté“ i „Morceaux plus difficiles.“ Są tam dzieła Bethovena, Kiela, Hellera i t. d.; w części drugiej Bacha, Händla, Mendelsohna, Kalkbrennera i t. p. Wydanie po-

prawne, nadzwyczaj staranne a przytem tanie.

Muzyka narodowościowa kwitnie. Powodzenie, jakiego doznał Brahms przez swój wybór i świetny układ tańców węgierskich, które w układzie Joachima na skrzypce, przez tegoż w całym świecie grywane stały się bardzo popularnemi, obudziło mnóstwo mniej lub więcej szczęśliwych naśladowców. W pismach muzycznych roją się recenzje i ogłoszenia o śpiewach i tańcach wszystkich niemal narodów na kuli ziemskiej. I tak mamy Ig. Brülla (Galicjanina) Tańce bretońskie na 4 ręce, Andersena Tańce szwedzkie, Kleinmichla Wędrówki stepowe (mało-rossyjskie) wreszcią Dworzaka. . . Tańce słowiańskie. Ten ostatni wydał niedawno operę komiczną 1 aktową „Tvrde palice“ coby po polsku „Zabita pałka“ przetłumaczyć można,

Leszetycki (u Niemców Leschetitzky) napisał 1 aktową operę p. t. „Pierwszy zmarszczek“ (der erste Falte). Grano ją z wielkiem powodzeniem w nadwornym teatrze w Monachium, a przedtem w Wiesbaden.

Żeleński wydał w Pradze najnowsze dzieło op. 37 „Polonez“ na orkiestrę, który wyszedł również w partycji fortepianowej na 4 ręce.

Wreszcie z nowszych rzeczy polecamy pianistom naszym, bardzo ładne „Impromptu“ Reinholda op. 28., szczególnie Nr. 1 i 3, i Maszkowskiego op. 27. Barkarolę i Tarantelę.

W.

ZIARNKA

W środę i czwartek, jako w dzień zaduszny i wilję dnia tegoż, tłumy publiczności spieszyły wieczorem na cmentarz Łyczakowski. Deszcz padał, błoto sięgało do kostek, ulice były słabo oświetlone... Mimo to tłumy dążyły naprzód po uciążliwej drodze, popychając się w kałuże, roztrącając łokciami, śmiejąc się i gwarząc wesoło. Była między niemi garstka ludzi spieszących westchnąć na mogiłach ukochanych, ale to była tylko garstka.. Masy spieszyły na widowisko. — Cmentarz był oświetlony a g i o r n o... Bogate pomniki, zdobne w wieńce i transparenty, przedstwiały widok czarodziejski prawie, wszędy światło, woń kwiatów.. Pole śmierci zamieniło się w park iluminowany... Widząc te rozpromienione tłumy, na które padały różnobarwne światła, zdało nam się, że jesteśmy na jakiejś wspaniałej a wesołej uroczystości.. Gwar, żywe rozmowy, częste wybuchy śmiechu — wszystko to łączyło się w sobie w całość odurzającą...

Późno wieczorem przechodziliśmy koło bramy cmentarza... Publiczności było już nie wiele — iluminacja jednak trwała w całej pełni.. Bogate transparenta i dopalające się świece przemieniały „uprzywilejowaną“ część cmentarza w istne morze światłości... W tem przed bramę zajechał wóz prosty — na nim leżała skarbowa trumna szpitalna... Pijany woźnica, który dla skrócenia sobie drogi nucił pod nosem karczemną piosenkę, zatrzymał konie. Czterech ludzi wzięło trumnę na barki... Niosło ją długo wśród transparentów i płomieni w odległą część cmentarza.. Im dalej szli, tem światła były coraz rzadsze — wreszcie weszli w okolicę, gdzie panowała zupełna ciemność. Za chwilę, w stronę cmentarza oświetloną i utransparentowaną doleciał odgłos spadającego ciała i uderzenia ryskali... Czterech ludzi wróciło z próżną trumną... Pochowano człowieka nagiego...

* * *

„Ziarno“ ma szczęście. Nie dlatego, jakoby urodziło się w czepku i z góry przeznaczone było do tego, aby spać na różach i nie troszczyć się o nikogo. Ma szczęście dla tego, że porusza rzeczy żywotne a nie ogląda się na nikogo. Wspomnienie nasze o Kościuszce, a względnie poruszona przez nas myśl postawienia pomnika największemu z bohaterów polskich, nie była jałową. W kilka dni później zgłosili się już ludzie, którzy pomimo to, iż do tego czasu o komitecie pomnikowym niebyło mowy, złożyli na ten cel 20 zł. Kwota to stosunkowo drobna, ale przekonani jesteśmy, że jest to tylko początek, po którym nastąpi świetny ciąg dalszy... Kościuszko nie należy tylko do nas. Jest to bohater wolności, bohater równie wielki dla c a ł e j l u d z k o ś c i, którego wspomnienie jest równo miłe dla tej, jak dla drugiej części swiata. Dla nas jest on ideałem polaka, dla Ameryki ideałem człowieka, a dla wszystkich w ogóle ideałem charakteru. Czyż potrzeba więcej, aby być pewnym, że sprawa tak wielka, jak sprawa pomnika dla Tadeusza Kościuszki nie upadnie! Komitet pomnika wielkiego bohatera z pod Racławic potrzebuje tylko ogłosić odezwy w kilku językach, a fundusze z pewnością się znajdą, i popłyną może obficiej, aniżeli na inne cele. Kopiec w Krakowie nie jest wystarczającym pomnikiem dla tak wspaniałego człowieka. Kopiec jest pomnikiem ludowym, pomnikiem zapału i chwili, Kościuszko zaś zasługuje na wspaniały monument, monument artystyczny, który by dawał świadectwo żywe jego czynów, i do założenia takiego monumentu wzywamy ogół!

* * *

Coś bardziej dziecinnego nad uscenizowaną „Starą baśń“, trudno sobie wyobrazić. Praojce nasze biegają z drągami po scenie, ubrani w kurtki aresztanckie (tak ich u nas ustrojono, widocznie z pietyzmu dla przeszłości) wrzeszczą, skaczą przy ogniu, ogromnie się odgrażają — ale nie wie dzieć po co to wszystko, ni dlaczego! Czasby już nareszcie zerwać z temi szopkami, choćby z nich nie tylko dwóch aniołów, ale stokroć więcej występowało. I to ma być sztuka ludowa! A czegóż wy chcecie uczyć tego ludu? Bezmyślności? On i bez „Starych Baśni“ dosyć bezmyślny. Nie wspominalibyśmy o tem bzdurstwie, gdyby nie było ono przerobione przez jakiegoś niedołęgę z pięknej powieści Kraszewskiego. Do „szanownego jubilata“ mamy wielką pretensję. Jak mógł pozwalać przerabiać na scenę rzecz, która mając wielkie zalety epickie, ale nic a nic dramatycznego, zupełnie się na scenę nie kwalifikuje? Jak mógł dalej, przeczytawszy tę sztukę, uznać ją za godną przedstawienia?

Jak mógł wreszcie po nie przychylnych recenzjach w Krakowie, napisać do przerabiacza „Starej Baśni“ list, w którym mówi: „Nie zważaj na krytyki — to rzecz dobra — publiczność będzie za nią“...? Nowy to dowód, że jak w dziejach biblijnych, tak i teraz „patryarchowie“ mają chwile dziwnej słabości...

* * *

„Bibl. Warsz.“ za październik, pomieszcza trzy listy Ignacego Domejki, profesora chemji, fizyki i mineralogji, a zarazem rektora uniwersytetu w San-Jago. Dzielny ten człowiek, opuściwszy w r. 1831 kraj, uzupełnił w Paryżu specjalne wykształcenie, nabyte niegdyś na wileńskiej wszechnicy, a skorzystawszy z propozycji, od r. 1838 przebywa w południowej Ameryce. Mimo oddalenia od serdecznych druhów i kraju, Domejko nie zapomiał ni języka, ni ziemi rodzinnej. Dziś, starzec osmdziesięcioletni (ur 22 sierp. 1801 r. w powiecie nowogrodzkim we wsi Niedźwiadce) tęskni, jak w pierwszej chwili, do ludzi i kraju, co zresztą poświadcza jeden ustęp z jego listu: „Mnie żadne bogactwa tego Nowego świata, o które nigdy nie dbałem, ani piękne niebo i góry, ani życzliwość dobrych ludzi tutejszych, zasługi, spokojność, dobry byt, co mówię, grób żony, nie zatrzymają, jeżeli będę mógł wyrwać się ztąd z dziećmi za ocean, i być bliżej was, z wami, i choć jeden dzień przed śmiercią popatrzeć na ziemię naszą, do której ciągnie mnie taż sama miłość, co i ciebie wychowała. Już to jest ostatecznie jedyne pragnienie, które jeszcze zostało mi na dnie strapionej tylu niepowodzeniami duszy“.. Mamy nadzieję, że życzenia tego towarzysza „promienistych“ spełnią się, i że go powitamy na naszej ziemi.

ZAPISKI.

Literatura.

* Od jednego z rodaków w Nowym Jorku, d-ra S., otrzymano list ze szczegółami przyjęcia, jakiego doznała wydana niedawno, przez ziomka naszego Sobolewskiego, książka pt. (*Poets and Poetry of Poland*) (Zbiór utworów poetyckich polskich). Jedna z poważnych gazet amerykańskich tak się wyraża: „Oryginalność poezji — tak szeroko rozpowszechnionej w liczbie innych znanych literatur świata — zaleca tę wielką pracę p. Sobolewskiego, która przedstawia wiele interesu dla każdego nieobojętnego na uczucia i wzruszenia ludzkości, oraz ciekawego tych kolei, jakie przechodziła Polska. Ktokolwiek przeczyta tę książkę, dziękować będzie wygnańcowi za zdjęcie zasłony, która tak długo zakrywała ten wspaniały skarbiec myśli i uczuć". A oto słowa drugiej gazety: My, amerykanie, mamy nowy powód do sympatji i szacunku dla tego kraju, z którym tyle mamy wspólnych upodobań i pragnień." Lecz najprzyjemniejszym dla autora był zapewne następujący list, otrzymany od najsłynniejszego poety angielskiego Longfellowa : *Cambridge*. Drogi Panie! Z prawdziwą przyjemnością otrzymałem list Pański wraz z pięknym egzemplarzem „*Poets and Poetry of Poland*", któryś mi Pan był łaskaw przesłać. — Dzieło pańskie przeczytam z prawdziwem zajęciem, gdyż dotychczas o literaturze Polski nic nie wiem, prócz tych niedokładnych wiadomości, jakie zaczerpnąłem z broszurki dr. Bowring. Dziełem tem oddałeś Pan znakomitą przysługę krajowi, oraz wszystkim miłośnikom literatury pięknej. — Życzę Panu powodzenia. Pozostaję życzliwym na zawsze *Henry W. Longfellow*.

* W Petersburgu, jak donoszą „Nowosti" zacznie wychodzić wkrótce homorystyczne pismo polskie p. t. „Świstek" — w Czerniowcach zaś niejaki p. Stehlik zaczyna wydawać z dniem 15 bm. dwutygodnik społeczno literacki p. t. „Przedświt".

* Turgeniew, jak się dowiadują petersburgskie „Nowosti" ukończył nową nowelę p. t. „Poślsmierti" (Po śmierci) która ma być ogłoszony w tegomiesięcznym zeszycie „Wiestnika Jewropy". Obecnie pracuje Turgeniew nad wykończeniem swych drobnych szkiców poetycznych, które okażą się także w „Wiestniku" p. t. „Stichi w prozie".

* Hebrajskie poemata. „Job über das Leiden des Gerechten von Gustaw Bickell". Jestto tytuł księgi Joba w niemieckiem tłumaczeniu Bickla, ze znanego znakomitego dzieła „Carmina veteris testamenta" Tłumaczenie odznacza się wiernością przekładu i czystością języka.

* W Nancy, nakładem Bergera Lerzanet et Comp. wyszło 2tomowe dzieło w języku francuskim, pióra p. Foucart, traktujące o przedmiocie nas obchodzącym Tytuł dzieła „Wojna polska (?) 1706—7 Pułtusk i Gołynin".

* Figaro wylicza tylko 137 pseudonimów Voltaire'a. Sławny myśliciel wybierał najróżnorodniejsze nazwiska, w celu rozpowszechnienia dzieł swoich, samo bowiem imię jego na książce było dostatecznem dla umieszczenia jej na indeksie. Voltaire tedy używa na przemian nazwiska: „le docteur Wellwsher good natured," — (doktor Życzliwy a dobroduszny), to znów: „Une dame" — „Un quaker" — „Un pretre de la doctrine chrétienne" — „Un bachelier de théologie" — „Un auteur célébre qui 'est retiré de France" — „Le sécrétaire de M. de Votaire" — „Le major Keiserling" — „Fatema" — „Anne Dubarr" — „Le curé de Trésne" — „Veuve Denys, niéce de Voltaire" — „Cubtorf, pasteur" — „L'archeveque de Canterburry" — „Plusieurs aumoniers" — „Le rabin Akib" — „Le docteur Akkaki" — „Feu l'abbé Bazin" i t. d. i t. d

Teatr i muzyka.

* Panna Deryng w przejeździe przez Kraków zamierza tam wystąpić w „Romeo i Julia"

* Trupa p. Łukowicza w Petersburgu przedstawiła „Halkę" Moniuszki. Przedstawienie miało być ohydne pod względem wykonania. Najwięcej jeszcze chwalą b. chórzystkę naszego teatru p. Kasprowicz, która tam jest „primadonną", innych traktują jak ludzi nie mających żadnej kwalifikacji. Do kompromitacji p. Łukowicza i to dodać należy, że szanowny dyrektor puszcza się równocześnie jak donoszą „Nowosti" na nie zbyt moralne przedsiębiorstwa.., Zaiste wstyd mieć takich reprezentantów sztuki.

* W Wiedniu wystąpiła w „Hugenotach" jako primadonna opery nadwornej panna Schläger, dawniej pierwsza wodwilistka w Karl teatrze.

* Nowy utwor Erckmana-Chatrian'a p. t. „Madame Therése" przedstawiony w Paryżu w teatrze Chatelet nie utrzymał się mimo patryotycznych wycieczek przeciw Niemcom. Rzecz osnuta na tle wypadków wojny 1794 przeciw Prusom w Lotaryngii, a następnie w prowincjach nadrenskich — daje sposobność wyprowadzania niejednego pochlebstwa dla narodowej dumy francuzów. Mimo to publiczność znudzona pięciogodzinnem przedstawieniem, imię autora wywoływane z galerji przyjęła sykaniem i innymi znakami niezadowolenia.

* Dramat 4 aktowy Feuilleta „Un roman parisien" miał szalone powodzenie na scenie teatru Gymnase,

* Zofia Croizette, ulubiona przedstawicielka „Księżnej Bagdadu" podała do komitetu „Theatre Francais" z powodu skołatanego zdrowia, prośbę o dymisję.

* Francuskie stow. autorów ofiarowało Planbuettowi, za nową jego operetkę „Ripvan Winkle" 300.000 franków, których jednak kompozytor nie chciał przyjąć twierdząc, że dwa razy tyle zarobi na tej partyturze.

* Najnowszy dramat Wiktora Huge „Torquemada", który dotychczas niebył grany we Francji przedstawiony ma być wkrótce w „Karltheatrze" w Wiedniu.

* Sławna artystka Ristori występowała z wielkim powodzeniem w ostatnich czasach w Dublinie, Edynburgu i Glasgowie.

* Z Nowego Jorku donoszą, że w zimowym sezonie wystąpi w wielkiej operze Patti, Nillsson Miss Emma Thursby — w operetkach Capoul i p. Derivis w dramacie i komedji pani Langtry, signor Salwini, Edwin Booth i nasza nieoceniona Modrzejewska.

Sztuki piękne.

* „Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, zakupił do rozlosowania pomiędzy członków Towarzystwa, następujące dzieła sztuki: „Jarmark" Stan. Vathemiera; „W polu" Ant. Piotrowskiego; „Marzenie" Szyndlera; „W ogrodzie p. Konopackiego;" „Jesień" J. Owidzkiego; „Chata pobereżnika" W. Brochockiego. Oprócz tego dla zbiorów Towarzystwa nabyto obraz Ant. Kolberga „Starzec".

* Krakowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych przeznaczyło na premję dla swych członków na r. b. — miedzioryt Redlicha z obrazu Matejki „Rejtan".

* Wereszczagin wyjeżdża niedługo do Indji, gdzie zamierza robić studja artystyczne nad naturą i kostjumami.

* Leży przed nami pierwszy zeszyt wcale pięknego „Albumu Makarta", wydanego nakładem Fr. Bondyego. Zawiera on oprócz dobrze napisanego tekstu, drzeworyty przedstawiające: „Wesołe Kumoszki z Windsoru", „Nubijki" tudzież znaną scenę zatytułowaną „Na dworze Medyceuszów" i atelier artysty, według rysunku Katzlera. Całe dzieło składać się będzie z 10 zeszytów po 4. ilustracje.

* Wyszła niedawno zajmująca biografia pejzażysty niemieckiego Jana Chr. Reinharta, napisana przez Otona Baischa.

* „Kunsthistorische Bilderbogen", wychodzące nakładem Seemanna w Lipsku — otrzymały nowy suplement z 24 tablic, które uzupełniają dzieło nowemi ilustracjami do malarstwa XVI, XVII i XVIII wieku, tudzież do plastyki z XV i XVI stulecia.

* Na wystawie w Pradze zwraca powszechną uwagę obraz młodego malarza Jakóba Schikeneдera przedstawiający „Procesję Lollardów". Treść obrazu odnosi się do znanej sekty, której założycielem był spalony r. 1322 w Kolonii n. R. na stosie Walter Lollard, a której zadaniem było przypodobać się Bogu ciągłą męczarnią ciała, a przy zarazach i tym podobnych nieszczęściach odwracać gniew Boży, za pomocą modlitwy. Sekta ta rozprzestrzeniona była szczególnie w Austrji, Czechach i Anglii, gdzie ostatecznie złączyli się oni z Wickliffistami.

Taką scenę procesji Lollardów podczas moru wymalował Schikeneder, a chociaż być może, iż myśl do obrazu wziął z kompozycji Gallaita (Mór w Turnay) traktuje on rzecz swoją odmiennie, bo przedstawia chwilę, w której sektyści odbywszy procesję kończą ceremonię oczyszczenia spaleniem wszystkich „błyskotek" w które człowiek stroi ciało „i pism kacerskich wiodących do zepsucia ducha". Na obrazie Schikenedera autodafe już skończone gdzieniegdzie tylko dopala się jakaś szata lub szczątek księgi, i przy stosie pozostała tylko nieliczna grupa najfanatyczniejszych, oblana pięknie światłem ogniska.

Typy tej grupy rysowane wybornie są na wskróś charakterystyczne. Obraz ten dowodzi, że w Czechach wkrótce w całej pełni rozwinie się malarstwo historyczne, a młode pokolenie pójdzie śladem Brozika.

* Pisma niemieckie podają wiadomość, że w parafi Mitzel erad, miasteczku hrabstwa Glatz, znajduje się wizerunek Matki Boskiej, darowany Sobieskiemu w r. 1683 przez papieża Inocentego XI. Obrazek ten przeszedł na własność hrabiów Altan, za sprawą Marysieńki, i dopiero w r. 1832 przypadkowo odkryto tablicę z dedykacją papieską, a zniej dowiedziano się, kto był pierwszym właścicielem tego obrazu

Nauki Przyrodnicze.

* Profesor Phipson zrobił nadzwyczaj ciekawe doświadczenie,— oto udało mu się zahypnotyzować — akację (Robinia Pseudoacacia) — Wiadomo po-

wszechnie, że drzewo to po zachodzie słońca snula swe listki i w ten sposób zasypia — otóż Phipson spróbował uspić drzewo w jasny, pogodny dzień — i udało mu się. Po 10-15 uderzeniach dość silnych w końce listków drzewa, wystawionego na silne promienie słoneczne — poczęły się one powoli zwijać — i w końcu cała akacja usnęła. Sen trwał zozwyczaj dwie do trzech godzin. Doświadczenie ciekawe i łatwe do sprawdzenia.

* Z ogłoszonego rocznika statystycznego, wydanego przez ministerstwo rolnictwa, dowiadujemy się, że ze wszystkich kopalni cynku, znajdujących się w Austrji najwięcej kruszcu tego dostarczyła Galicja, dając 126.505 cetn. metr. na 361.003 cetnarów wydobytych w całem państwie.

* Mapa Geologiczna Europy, zaprojektowana na kongresie geologicznym w Bolonii, wyjdzie między r. 1884 a 1888 u D. Reimera w Berlinie w 49 arkuszach; i będzie kosztować 100 zł. w prenumeracie. Kiepert objął wyrysowanie mapy topograficznej służącej za podstawę mapie geologicznej, ułożonej przez Beyricha i Hauchcorn'a.

Wiadomości społeczne.

* Na stan oświaty we Francji rzucają następujące liczby, wyjęte ze sprawozdania urzędowego, wiele światła: W r. 1827 na 100 wotantów umiało czytać przeciętnie 42, w 1832 stosunek ten wynosił 52%, w r. 1879 zaś 85%. Wschodnie departamenty przedstawiają się najlepiej pod tym względem, bo wykazują 98 i 97%, najgorzej w tej mierze stoi Bretonia, która wykazuje tylko 58—68%.

* Echo Łomżyńskie rozpoczęło druk ciekawego artykułu, o stanie moralnym i umysłowym drobnej szlachty mazowieckiej. Z artykułu tego dowiadujemy się, że między tą zresztą zamaszystą i po staremu nie pozbawioną uczuć obywatelskich bracią, na sto osób ledwie dziesięć umie się podpisać, a z tych dwie mają pojęcie o ortografii. Umiejących czytać jest ledwie 15 prct. Pokolenie starsze w ogóle więcej umie niż młodsze. Przyczyną tego brak szkół.

Miscelanea.

(*L. W.*) Podług wyobrażeń narodów starożytnych ziemia, którą sobie przedstawiano albo jako kulę albo jako płaszczyznę poziomą, spoczywała nieruchoma w środku sfery wszechświata, ta zaś wraz ze słońcem, księżycem i wszystkiemi gwiazdami, na około ziemi od wschodu ku zachodowi krążyła. Planety, do których także słońce i księżyc zaliczano, miały oprócz tego ogólnego ruchu jeszcze ruch drugi, okrążając ziemię w różnych czasach, w kierunku tamtemu przeciwnym t. j. od zachodu ku wschodowi. Według zdania Platona składały się wszystkie ciała przyrodne z 4 rodzajów drobnych cząsteczek, mianowicie: stałych, wodnych, powietrznych i ognistych a cząsteczki te szczególnie wielkością swoją się różniły. Stałe, mające postać kostki, były największe, ogniste zaś postaci piramidy, były najmniejsze. Cząsteczki te (mniemał uczony grecki) znajdują się wszędzie, i są pierwiastkami wszech rzeczy, pomimo to rozdzielone są przeważnie według swojego ciężaru właściwego, — jeżeli wyrazu tego starożytnym nieznanego tutaj użyć wolno. Cząsteczki stałe zajmują środek ziemi, na nich leżą cząsteczki wodne, wyżej cząsteczki powietrzne, a najwyżej ogniste. W sferze cząsteczek ognistych znajdują się słońce i gwiazdy, złożone z ognia.

Cząsteczki nie znajdujące się w sferze sobie odpowiedniej, przyciąga główna masa tej samej materji, z jakiej się one składają, w skutku czego dążą do tej sfery, do której według istoty swojej należą, jeżeli w tem nie znajdują przeszkody. Wszystkie więc cząstki ziemi t. j. stałe dążą do ziemi, i spadają na nią, jeżeli nie są podparte. Woda w rzekach i strumykach płynie do Oceanu, który je przyciąga. Pary wznoszą się z tej samej przyczyny w sferę powietrzną, będącą między powierzchnią ziemską a sferą ognistą, która to ostatnia przyciąga znowu ciała ogniste, w skutku czego płomień wznosi się w górę.

Więc też podług wyobrażenia Platona posiada materja siłę przyciągającą, lecz tylko jednogatunkowe ciała przyciągają się wzajemnie, dążąc każde ku tej sferze, gdzie się przeważna masa materji tej samej istoty znajduje. O działaniu zaś siły ciążenia u wszystkich ciał, Plato nic nie wiedział, uważając każde ciało jako ciążace tylko ku tej sferze, do której należało, w stosunku zaś do wszystkich innych sfer uważał je jako lekkie. Jeżeli zaś ciało jakie znajdowało się we właściwej sobie sferze, to nie było ani ciężkie ani lekkie. — Aristoteles, uczeń Platona podzielił ziemskie ciała przyrodne (podobnie jak tamten) na 4 pierwiastki: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Pierwiastkom tym przyznawał pewne własności mogące być zmysłem dotyku rozpoznane, tak, iż według jego zdania wszystkie ciała były suche, albo mokre, ciepłe albo zimne. Oprócz tych własności; z których każde ciało dwie posiadało, tak iż ziemia była sucha i ciepła, woda mokra i zimna, powietrze mokre i ciepłe, a ogień suchy i ciepły, miały ciała jeszcze dwie własności, nie dające się rozpoznawać zmysłem dotykowym, t. j. własność ciężkości i lekkości, z których pierwszą miała ziemia i woda, drugą zaś powietrze i ogień. Ciała, w których przeważała ziemia lub woda, były ciężkie, w których zaś powietrze albo ogień, były lekkie. Piąty pierwiastek, z którego składały się ciała niebieskie, niebył ani ciężki ani lekki.

Według Aristotelesa nie ziemia przyciąga ciała na swojej powierzchni będące, lecz przeciwnie ciała dążą właściwym swoim popędem ku środkowi ziemi.

Chcąc według tych przypuszczeń wytłumaczyć prawo spadania, doszedł Aristoteles do tego mylnego wniosku, jakoby nawet w próżni, gdzie nie ma oporu powietrza, nie wszystkie ciała równie prędko spadały, lecz jakoby chyżość spadania była odpowiednią ciężarowi ciała spadającego. Przyspieszenie w ciągu spadania tłumaczył tym sposobem, że ciałom przyznawał tem większe ciążenie ku środkowi ziemi, im bliżej temu środkowi się znajdowały; twierdził przytem, że im bliżej powierzchni ziemskiej; tem rzadsze jest powietrze przeszkadzające spadaniu.

Plutarch twierdził, że ziemia przyciąga księżyc, i planety i porównywał ruch księżyca z ruchem kamienia obracanego w procy, który spadłby na ziemię, gdyby obrót był powolniejszy; tak samo też spadłby księżyc na ziemię, gdyby jego chyżość obrotowa była mniejsza.

Podobne zdanie wypowiedział także Simplicius komentator Aristotelesa, w VI stuleciu po nar. Chr. twierdząc, że ciała niebieskie dla tego na ziemię nie spadają, ponieważ siła obrotu przemaga siłę przyciągania ziemskiego, podobnie jak woda nie wypływa z naczynia obracanego, jeżeli chyżość obrotowa jest większa, niżeli siła przyciągania przez ziemię.

Przez cały czas wieków średnich wierzono ślepo w naukę Aristotelesa, co wiele zaszkodziło postępowi umiejętności przyrodniczych. Dopiero Kopernik wypowiedział stanowcze zdanie, że wszystkie ciała niebieskie mają siłę przyciągającą, która jest przyczyną ich kulistej postaci, i przypuszczał, że one także wzajemnie się przyciągają. Na wzajemne to przyciąganie się zwrócił większą uwagę Kepler, twierdząc, że dwie gwiazdy któreby gdzieś w przestrzeni wszechświata po za obrębem działania jakiegoś trzeciego ciała blisko siebie istniały, dążyłyby ku sobie i nareszcie zetknęłyby się ze sobą, a drogi przebieżone przez nie, byłyby w odwrotnym stosunku do ich mas. Księżyc według zdania Keplera zetknąłby się z ziemią, gdyby siła życiowa nie utrzymywała każdego z tych dwóch ciał niebieskich, na osobnej kolei.

Treść.

Zwracamy uwagę Szanownych prenumeratorów miesięcznych, że z numerem piątym skończył się pierwszy miesiąc istnienia pisma, a z obecnym rozpoczyna się drugi.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

W. Kuczabiński

Lwów, Rynek liczba 37.
powyżej księgarni p. Milikowskiego
Introligatornia
Skład papieru i przyborów szkolnych
do pisania rysowania i malowania.
KSIĄG handlowych i gospodarskich i dla
Wielebnego Duchowieństwa
Książek do Nabożeństwa,
oprawnych w płótno, skórę, aksamit, heban, kość słoniową, perłową macicę i t. d.
Albumy na fotografie. Albumy do pisania. Pamiętniki. Pugilaresy. Notatki. Galanterje biurkowe, etażerkowe i kieszonkowe.
Obrazy i rozmaite małe obrazki. Ramki aksamitne. Teki do pisania. Książki do kopiowania itd.
Po nadzwyczaj niskich cenach.



Magazyn futer
P. Czapczyńskiego
we Lwowie ul. Halicka Nr. 1.

Poleca na sezon zimowy wszelkie gatunki futer do podróży i do miasta, damskie i mezkie.

Kołnierze i zarękawki damskie w wielkim wyborze, skóry pojedyńczo i hurtownie.

Cennik na żądanie franco.

Nowości
z konfekcyi dla dam
kostiumy, paletoty, dolmany,
zarzutki, płaszcze i t. p.
jako to:
najnowszego fasonu
poleca **w największym** wyborze
Magazyn Schaverów
we Lwowie,
ulica Karola Ludwika liczba 3.
Zamówienia z prowincyi uskutecznia odwrotną pocztą.

„CONCORDIA"
pierwszy lwowski zakład pogrzebowy
F. OPUCHLAK
plac Kapitulny liczba 3,

Urządza pogrzeby począwszy od najskromniejszych do najwspanialszych dla wszystkich stanów a wykonując ze znaną sumiennością jak najobszerniejsze zlecenia, uchyla wszelkie trudy pozostałej rodzinie.

wszelkie przybory pogrzebowe są zawsze w jak największym wyborze na składzie.

Główny skład trumien kruszcowych hermetycznych
(co do jakości i trwałości niezrównane)
Trumny drewniane dębowe, polıturowane, imitacje metalowych, obite aksamitem atłasem. Materace do trumien, poduszki kapy atłasowe i adamaszkowe, satynowe mulowe i t. p.

Skład komisowy wieńców grobowych
metalowe, paciorkowe, z suchych i sztucznych kwiatów w bogatym wyborze, również szarfy i wstęgi do wieńców jedwabne, atłasowe i morowe z napisami i bez tychże.
Wieńce z żywych kwiatów wykonuje bez różnicy pory roku jak najspieszniej.
Zakład pogrzebowy „CONCORDIA" urządza także kompletne pogrzeby na prowincji. Wszelkie zamówienia z prowincji bez różnicy czasu (w dzień czy w nocy) wykonuje bezzwłocznie.

„**CONCORDIA**"
F. Opuchlak.